

Dziś w numerze: Na zamku w Uniejowie • Stare wspomnienia • Z warsztatu łódzkich filologów • „Horst Wessel Lied“ nad Paraną • Wiersze • Felietony • Recenzje

# odgłosy



7 (537)  
18. II. 1968 r.  
10 stron  
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI

JANUSZ ROSZKO

## Siedmiu wspaniałych

Miasteczko, w którym kilka lat temu gęsi skubały trawę na rynku, oświetlone rzesiście, że znajdziesz szpilkę na asfaltowym bruku. Nad ziemią oszklone pawilony i nowoczesne punktowce. Pod ziemią ruda miedzi, kilkaset metrów, głęboko, drogo do niej zagradza piekłąca się gdzieś w głębi woda.

Idę na ukos przez błyszczący rynek do kawiarni „Ratuszowa”, nie aby podziwiać naprawdę piękną architekturę, choć o tej porze nadzwyczaj przewiewna — ale aby spotkać się z pierwszym ze swojej siódemki. Nie wiem jeszcze, jak zacznie się owa opowieść, ale wiem, że jej początek ma konkretną datę: 11 czerwca 1962 r. Wtedy rozpoczęto głębienie szybu oznaczonego wstępnie kryptonimem L-2 — czyli szybu skipowego kopalni Lubin.

A więc proszę, rzecz zaczyna się jak w prawdziwym westernie: od saloonu, barman jest jak zwykle chytrooki, dziewczyny przy stolikach wyczekujące. Tutaj nie się nie będzie działo, cała akcja moich siedmiu wspaniałych zamknie się w opowieści. I ta akcja będzie się toczyć przeważnie na głębokości kilkuset metrów pod ziemią. A zatem będzie to pierwszy „podziemny” western.

Ci, co przyjechali tutaj, nie byli poszukiwaczami złota, nie byli ludźmi „znikąd”, jak wymaga tego reguła westernu, nie wszyscy przyjeżdżali, aby wyjechać. Ale jak w westernie: jedni do to, żeby zrobić grosz, drudzy — aby solidnie pracować. I ten mój dziwny western nie będzie polegał na walce szlachetnej jednostki z przewrotną bandą rabującą uczciwych farmerów — ale na walce ludzi z przewrotnym demonem. Wiele może będzie to raczej coś w stylu Hitchcocka, jakaś historia kryminalna, może à la Belphegor?! Skądże znowu.

— \* —

Ale zaczynamy akcję. Saloon lubiński, pary na parkiecie, dziewczyny z importu, bo miejscowych defekt. W kacie wiele od wielkiej szyby. Szepty inżynier. Pierwszy z siedmiu, Magister inżynier Jan Ulrych.

— Czasem w życiu człowiek chce bardzo dużo, ale życie nie zawsze jest sprawiedliwe. Czasem z przyczyn przez samego siebie nie zwinionych całkiem inaczej kształtuje się los. Choć jak powiadała — nie ma winy bez przyczyny. Musze panu odpowiedzieć na pytanie, panie redaktorze. Nie wierze w pecha.

Studia skończyłem na krakowskiej AGH w 1957 roku i od razu poszedłem na Lubinów, jedną z rozbudowanych się wówczas kopalń miedzi starego zagłębia, koło

Dalszy ciąg na str. 3

TERESA WOJCIECHOWSKA

## To nie jest dom Ali

„To jest Ala, a to jest mama. To jest mama Ali. To jest dom. To jest dom Ali i mamy”

Małe postacie pochylone nad zeszytami usiłują jak najstaranniej wpisać proste słowa elementarza, które w tym pomieszczeniu są słowami gorzkimi, okrutnymi. Bo na ławkach tej szkoły siedzą Ale, które nie mają mam.

O, ta głodziutko zaczesana, z włosami zawiązanymi w dwie cienkie kiki. Jest inteligentna, zdolna. Chyba rozumie treść pisanych przez siebie słów. Prawo odizolowało ją od matki, sąd polecił przenieść ją tutaj. W teczce z jej aktami można znaleźć uzasadnienie wyroku: alkoholizm i złe prowadzenie się matki. Notatka sporządzona przez społeczną komisję jest mniej lakoniczna. Komisja odwiedziła dom, edy dziecko nie przychodziło do szkoły z powodu

świerzbii. W jednej ławce, przy chorym dziecku, odbywała się dijańska libacja. Kilku mężczyzn i mama. Teraz mama nie odwiedza Ali nawet w dni przyjeżdż, zabroniono, bo mama ma czynną kile.

Na drugiej ławce dwie inne Ale. Siostry-bliźniaczki. Wczoraj ich starszy brat został skierowany do domu dziecka. One jeszcze czekają. Na razie starannie przepisują zdanie: To jest dom Ali. Ich dom? Ojciec, notoryczny alkoholik, nie stawiający się na przymusowe leczenie, przebywa w odosobnieniu na koszt państwa. Matka została skazana za paserstwo na dwa i pół roku wzięcia.

Smutną to szkoła. W każdej klasie kilkoroz dzieci, ale każde dziecko to osobna tragedia, osobny dramat, którego jedynym wyjściem jest zakład opiekuńczy. To szkoła prowadzi Państwowe Pogotowie Opiekuńcze zwane również placówką selekcyj-

no-rozdzielczą. Tu na okres przejściowy trafiają dzieci, kierowane potem do domów dziecka. Tu badane są przez lekarza i psychologa, a następnie umieszczone w odpowiednich placówkach. Rozpiętość wieku ogromna — od 3 do 18 lat. Mimo iż mieści się tutaj tylko siedemdziesięcioro dzieci, personel wychowawców i pedagogów jest liczny. W tych małych klasach nauczyciel może poświęcić wiele uwagi każdemu dziecku, poznać je dokładnie, uzupełnić luki w nauce. Te dzieci, na skutek warunków domowych, opuszczają wiele godzin lekcyjnych, a jeśli przychodziły do szkoły, to nie przygotowane.

Według statutu, dzieci mogą przebywać w tym zakładzie od sześciu tygodni do

Dalszy ciąg na str. 5





„Czarnymi tygodniami Johnsona” nazywają waszyngtońscy obserwatorzy ostatni okres. Przypominając, że prezydent USA rozpoczął rok wyborczy drastycznymi decyzjami w obronie pozycji dolara — wyliczają kolejno i inne kryzysy: zabicie przez amerykański bombowiec w wybrzeży Grenlandii czterech bomb wodorowych, afery ze szpiegowskim okrętem „Pueblo” oraz trwającą z powodzeniem ofensywę wojsk Frontu Wyzwolenia Narodowego w Wietnamie.

Johnson — pisze waszyngtoński korespondent Reutersa — „nie był jeszcze w tak trudnej sytuacji od chwili, kiedy objął stanowisko prezydenta w listopadzie 1963 roku”.

Szczególnie dopiekła Johnsonowi zmasowana akcja partyzantów wietnamskich. Początkowo potraktowano ją w Białym Domu i Pentagonie jako zryw, który nie może trwać długo i z góry skazany jest na niepowodzenie. Tymczasem ofensywa nasila się, przynosząc FWN coraz nowe militarne sukcesy. Takim sukcesem było przede wszystkim zdobycie obozu sił specjalnych Long Veit — na przedpolach amerykańskiej bazy Khe Sanh.

„Miliony Amerykanów — relacjonuje korespondent AFP — wstrząśnięte są walkami toczącymi się w Wietnamie południowym... Czy bitwa pod Khe Sanh przyniesie zwycięstwo i rewansz za poniżenie ostatnich dni, czy też przekształci się w nowe Dien Bien Fu? — Oto pytanie stawiane przez wszystkich bez wyjątku w ministerstwach, na ulicy, nawet w szkołach”.

Wysocy urzędnicy ciągle jeszcze wierzą w zwycięstwo gwiazdowego szwadronu, przeciętny obywatel amerykański wie teraz lepiej niż kiedykolwiek, że w Wietnamie nie można zwyciężyć militarnie, a „wojna polityczna jeszcze się nie rozpoczęła”.

Z pewnością właśnie dlatego z uwagą studiowany jest wywiad, jakiego AFP udzielił minister spraw zagranicznych Demokratycznej Republiki Wietnamu — Nguyen Duy Trinh. Jego słowa: „Wszystko dowodzi, że Stany Zjednoczone nie chcą nawiązać poważnych rozmów na temat uregulowania problemu wietnamskiego i odpowiedzialność za ten upór musi spaść na nie” oraz „rozkowania rozpoczną się natychmiast po udowodnieniu przez USA, że efektywnie i bez żadnych warunków wstrzymały bombardowania i wszelkie inne akty wojny przeciwko DRW” mają w tej sytuacji szczególne znaczenie. Administracja amerykańska jednak, sądząc chociażby po zniesieniu ograniczeń w lotach na Hanoi i Haifong, nadal odrzuca możliwość równoprawnych negocjacji.

Z wydarzeń bliskowschodnich zwrócić w ostatnich dniach uwagę zasługuje rozmowy Arij — de Gaulle w Paryżu oraz Tito — Naser w Kairze. W czasie ich trwania prezydenci Francji i Jugosławii wysunęli w pewnym sensie zmodyfikowane plany uregulowania kryzysu w tym rejonie świata.

Propozycja de Gaulle'a zakłada: wojskową i administracyjną ewakuację terytoriów, które zostały zagarnięte przez Izrael, nadzór ONZ nad ścisłym wytyczeniem granic i ich ochroną, ustanowienie normalnych stosunków między sąsiadującymi krajami, przeprowadzenie repatriacji uchodźców, a tym, którzy zdecydowali się na pozostanie na nowych terenach, stworzenie dogodnych warunków życia oraz zapewnienie swobody żeglugi.

Również prezydent Tito, jako zasadniczy punkt swych propozycji rozstrzygnięcia bliskowschodniego konfliktu wymienia wycofanie wojsk izraelskich. Uważa on, że problemy uchodźców i żeglugi na Kanale Sueskim powinny być rozwiązane stopniowo w późniejszym terminie, w toku rokowań poprzedzonych deklaracją o zakończeniu wojny.

— Klucz do pokoju — zaakcentował Tito — jest w rękach Stanów Zjednoczonych, które mogłyby wywrzeć wpływ na Izrael w kierunku pokojowych rozstrzygnięć. Kraje arabskie dążą do stabilizacji i dają już dostatecznie wiele dowodów, że konstruktywnie podchodzą do tej sprawy.

W czasie, gdy ogłaszano obie propozycje, ambasador Jarring podjął kolejną podróż do Jeruzolimy. Zdaniem wielu obserwatorów jest to już ostatnia runda rozmów specjalnego wysłannika ONZ przed złożeniem raportu z jego misji U Thantowi.

Na kontynencie europejskim sensacyjne w skutkach okazało się przemówienie ministra spraw zagranicznych NRF — Brandta w Ravensburgu. Jego atak przeciwko polityce francuskiej, a według agencji DPA także na osobę prezydenta de Gaulle'a, był przedmiotem kilkakrotnych i bardzo zakłopotanych dementi strony zachodniemieckiej. Wprawdzie obie strony — Paryż i Bonn — uznały ostatecznie incydent za zamknięty, który „nie powinien pociągnąć za sobą żadnych dalszych następstw”, jednak opinia komentatorów jest odmienna. Oczekuje się, że nie pozostanie on bez wpływu na przebieg rozmów Kiesingera i Brandta z de Gaulle'em oraz że wzmożą się ataki na NRF na bońskiego ministra.

Jeszcze nie przebrzmiały echa tej głośniejszej na Zachodzie sprawy, a w Bonn wyniknął nowy skandal. Tym razem chodzi o poufny raport ambasadora NRF w Waszyngtonie — Knappesteina, którego streszczenie ukazało się na łamach „Echo der Zeit”. Otóż z tego dokumentu wynika, że administracja USA nie jest zadowolona z polityki Bonn, „rości sobie pretensje do pewnego priorytetu w dialogu z Moskwą, nie życzy zbytniej aktywności swych sojuszników w tej dziedzinie” oraz chce spokoju w Berlinie.

Przedstawię się tych opinii na łamy prasy powstało kółko rządzące w NRF w kłopotliwej sytuacji.

Można więc, powracając do pierwszych słów dzisiejszego komentarza, powiedzieć, że i Brandt przeżywa swe „czarne dni”.

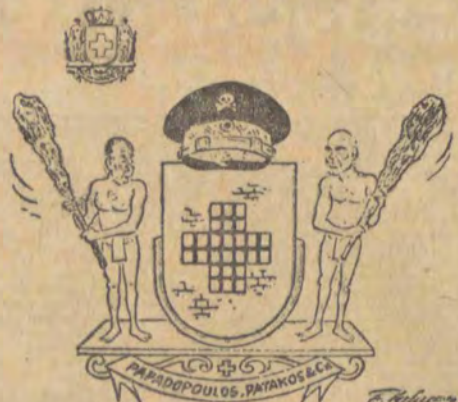
W. SŁAWSKI

# Tkronika Tygodnia

■ Dziennik „Rude Pravo” opublikował artykuł pt. „Od czego zacząć?” poświęcony działalności KPCZ. Zmiany w stylu pracy partyjnej — pisze dziennik — powinny stopniowo wykorzystywać metody administracyjno — biurokratyczne centralizmu i stworzyć warunki sprzyjające konsekwentnemu stosowaniu w życiu zasad nowego systemu zarządzania gospodarką narodową. Chodzi więc nie tylko o doskonalenie istniejącego kierownictwa politycznego, lecz o jego stopniową przebudowę. Partia i jej instancje na wszystkich szczeblach powinny — zdaniem pisma — zapewniać sobie wpływ i

ski wyraził tym razem pewne obawy większości państw.

■ Były gubernator stanu Alabama — rasista George Wallace wysunął swą kandydaturę na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wprawdzie Wallace nie ma, praktycznie biorąc, żadnych szans odniesienia zwycięstwa — pisze Reuters — to jednak jako kandydat cieszący się dużym poparciem w stanach południowych i południowo-zachodnich mógłby uzyskać dostateczną liczbę głosów, by umożliwić kandydatom z ramienia partii demokratycznej lub republikańskiej uzyskanie większości głosów.



Nowy herb grecki.

(Allgemein Handelsblatt)

kierowniczą rolę przede wszystkim za pośrednictwem komunistów w organach państwowych, gospodarczych i w organizacjach społecznych, a nie przy pomocy bezpośrednich dyrektorów. „Rude Pravo” przestrzega, że praktyka bezpośredniego zarządzania przez partię stanowi wyraz braku zaufania do prawomocnych i kompetentnych organów zarządzania, powoduje zjawisko zrzućcia na siebie odpowiedzialności... Aparat partyjny w żadnym wypadku nie może zastępować komunistów pracujących w kierownictwie aparatu państwowego i gospodarczego — zaznacza dziennik. Nie wolno dopuszczać go tego, aby decydujące uprawnienia przenoszono na ten aparat, ponieważ stwarza to niebezpieczeństwo ograniczenia demokracji.

■ Premier Wielkiej Brytanii Harold Wilson złożył wizytę w Waszyngtonie. Mimo presji ze strony znacznej części posłów labourzystowskich oraz brytyjskiej opinii publicznej, Wilson ponownie udzielił poparcia wietnamskiej polityce Johnsona.

■ Jugosłowiański dziennik „Borba” komentując wystąpienie przedstawiciela rumuńskiego na posiedzeniu Komitetu 18 w Genewie, w którym wysunął on szereg zasadniczych zastrzeżeń wobec amerykańsko-radzieckiego projektu układu o nierozpowszechnianiu broni nuklearnych, stwierdza, że delegat rumuński

■ Agencja „Tanjug” informuje, że równolegle ze spadkiem wymiany handlowej między Chinami i krajami socjalistycznymi wzrosła ilość krajów zachodnioeuropejskich zainteresowanych w zwiększeniu wymiany handlowej z ChRL. W ubiegłym roku globalna wymiana handlowa między ChRL i 9-cio krajami zachodnioeuropejskimi przekroczyła sumę miliarda dolarów i była o 21 proc. wyższa aniżeli w roku 1966.

■ Senator amerykański — Russell B. Long ostro zaatakował prezydenta de Gaulle'a i zażądał, by Francja zwróciła Stanom Zjednoczonym dług, jaki zaciągnęła w okresie pierwszej wojny światowej. Russell podkreślił, że Francja winna jest Stanom Zjednoczonym 5 mld. dolarów.

■ Na ogólną liczbę 14.333 tysięcy obywateli CSRS, Czechów jest 9.284 tys. (64,8 proc.), Słowaków — 4.196 tysięcy (29,3 proc.). Polaków mieszka w CSRS 72 tysiące. Ponadto jest: 563 tys. Węgrów, 114 tysięcy Niemców, 58 tysięcy Rosjan i Ukraińców oraz 46 tysięcy osób innych narodowości.

■ Amerykańskie źródła informują, że liczba amerykańskich samolotów bombowych wchodzących w skład dowództwa strategicznego sił lotniczych USA na obszarze Dalekiego Wschodu zwiększona została obecnie do największego poziomu od chwili zakończenia wojny koreańskiej 15 lat temu.

■ Naczelnicy dowództwa marynarki wojennej ZSRR — admirał Gorszkow oznajmił, iż w ZSRR wzięto kurs na budowę oceanicznych okrętów podwodnych i lotniskowców zdolnych z powodzeniem działać w światowej wojnie rakietowo-jądrowej — o ile taka zostanie przez imperialistów rozpętana.

■ Kairski korespondent UPI pisze, że Stany Zjednoczone i ZRA wznowią, jak się oczekuje, stosunki dyplomatyczne w ciągu najbliższych czterech miesięcy.

■ Sekretarz generalny Związku Dziennikarzy Bułgarskich poinformował o stanie prac nad projektem pierwszej bułgarskiej ustawy prasowej. W ustawie jeszcze raz potwierdził się — stwierdził sekretarz generalny — zawarte w konstytucji zasady wolności słowa i prasy, które — jak wiadomo — nie są głośniejszą deklaracją, jak np. w krajach kapitalistycznych, lecz realną rzeczywistością.

■ Agencja UPI donosi z Sajgonu: „W ciągu zaledwie trzech lat, byle jak ubrani i uzbrojeni w stare karabiny i strzelby własnej roboty partyzanci Vietcongu przekształcili się w nowoczesną, dobrze wyposażoną armię. Jeder z wojskowych amerykańskich powiedział: „Partyzanci posiadają wszelkie rodzaje nowoczesnego sprzętu i broni ręcznej. Przed trzema laty byli oni źle wyekwipowani i używali przestarzałego uzbrojenia. Obecnie są oni dwudziestowieczną armią”.

■ W siedzibie ONZ ogłoszono raport Międzynarodowej Organizacji Pracy o światowej sytuacji na odcinku zatrudnienia i warunków pracy w roku 1967. Z dokumentu wynika, że miniony rok charakteryzował się dalszym wzrostem bezrobocia i pogorszeniem się warunków życia mas pracujących w skali światowej. Polska — jak wynika z danych ONZ — należała do tych niewielu krajów, w których zatrudnienie wzrosło oraz zanotowano wzrost płac.

■ Moskiewski dziennik „Trud” w artykule pt. „Ameryka traci swe pozycje” omawia wyniki współzawodnictwa

ekonomicznego między ZSRR i USA. Dziennik stwierdza m. in., że dzięki szybszemu tempu wzrostu produkcji w ZSRR zrealizowały się propozycje między przemysłem obu krajów: w 1913 roku produkcja przemysłowa Rosji stanowiła 12,5 proc. produkcji przemysłu amerykańskiego, w 1950 roku — prawie 30 proc., a w 1967 — już ponad 2/3 produkcji przemysłowej USA.

■ W Kairze toczyły się rozmowy między prezydentem Tito, a szefem ZRA — Naserem. Agencje podają, że głównym przedmiotem obrad był „zrewidowany plan Tito”. Nowe propozycje jugosłowiańskie mają zakładać utworzenie stref zdemilitaryzowanych wzdłuż granic Izraela z jego arabskimi sąsiadami, ewakuację wojsk izraelskich z terenów okupowanych, rozwiązanie problemu uchodźców palestyńskich, zakończenie dwudziestoletniego stanu wojny, wolność żeglugi dla statków izraelskich po Kanale Sueskim i przez Cieśninę Tiran. W oświadczeniu, określonym przez agencje jako „ostre”, rzecznik rządu Izraela odrzucił jakąkolwiek możliwość podjęcia rozmów na bazie propozycji jugosłowiańskiej.

■ Przewodniczący agencji do spraw przestrzeni kosmicznej — Amerykanin, James Webb powiedział, iż Związek Radziecki wprowadził w najbliższych kilku latach Stany Zjednoczone w badania przestrzeni kosmicznej i w wysłaniu na Księżyc.

■ W korespondencji z Hongkongu zachodniobrytyjski dziennik „Der Tagesspiegel” pisze, że NRF nie może się uskarżać na to, by miała „złą prasę” w Pekinie. W czasie, kiedy padały różne obelgi pod adresem państw zachodnich, wschodnich i neutralnych, to „NRF stanowiła zwracającą uwagę wyjątek”. Można by niemal powiedzieć, że Pekin stosuje wobec nas przychylną neutralność — miał wyrazić się pewien niemiecki dyplomata w Hongkongu — stwierdza pismo.



Koszty dawnej — imperialnej świetności...

(International Herald Tribune)

## LISTY I REDAKCJI

WIELCE SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Pisz do Pana bo mi wstyd, wstyd pisać w tak białej sprawie. Mam na to tym większą ochotę, bo sprawy na pozór białe urastają u nas do problemów narodowych. Zrobię to nieudolnie, proszę mi wybaczyć, liczę jedynie na Pańską pobłażliwość. Oczywiście mój artykuł nie dorówna opiniom (sprawozdaniom) z wojsła zagranicznych (oj polchałoby się), roz-

ważaniem filozoficznym, a kuda im do nie zastąpionych uwag Cwikła (prośba — aby nam się wreszcie ujawnił). Używając słów Wielkiego Krytyka alisei nie świecił garnki lepia, a rzecz dotyczy odznak rozpoznawczych naszych żaków. Wprawdzie jeden z Pańskich współpracowników, jeśli mi wolno użyć tego określenia, poruszył swego czasu pewne sprawy bractwa studenckiego, co zakończyło się publicznym paleniem „Odgłosów” na ośledlu przy ówczesnej Bystrzyckiej, a Panu groził stos. Należy nam się podziękować, że nie nie uswieca tak świętości, jak jej profanacja.

Ale do rzeczy, zafascynowana wielkością i wzrostem P. Przydenta przy pomocy obrótnego krakowskiego krawca większość młodych Polaków nosi jego kiel. Cóż, jak to dawno już stwierdził Wielki rodak pana Prezydenta, każdy z nas może być generałem.

Ale oto obok kępi, dąpach, chłopskich baranie i kowbojskich kapeluszy (raz na ludowo) zakwitły i to jak zakwitły bielutkim kolorem niewinne czapki studenckie. Widział Pan chyba, Redaktorze, śliczne dziewczątka

w piaszczykach, kożuszkach i tych czapczkach z czarnym paskiem. O ile mnie pamięć nie myli, tak wystroili się nasze medycy. No i wreszcie nasze miasto ma swoich studentów!

Szkoda tylko, że tych studentów jest tak mało, bo jak dotychczas panje medycyki są osobobniane, a podobno mamy jeszcze inne uczelnie w Łodzi? W innych państwach, z tak zwana tradycja, zółte (dtp.) getry lub inne odzienie nieodzowne! w okresie studiów przechowywane jest pieczołowicie stanowiac jednia z zaszczytnych namiatak. Być może jestem zwolennikiem hasta „mota czapka świadczy o mnie” — nie o to mi jednak chodzi. Nareszcie w mieście bez tradycji studenckich mamy studentów i to nie tylko od świata.

Obok czapek pozostają odznaki: herb — symbol uczelni. Byłem niedawno w Krakowie i zadrościłem kolegom, którzy w marynarkach wnieśli mieli królewskie odznaki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dlaczego ja nie mam żadnej, czyżbym musiał się wstydzic, że ukończyłem jedną z wyższych uczelni

w Łodzi? Podobno Uniwersytet Łódzki miał takowa, nie wiem jak inne nasze uczelnie (przepraszam dane nie sprawdzone). Czy nie można by było w uroczystym dniu wzniesienia flagi, mówić wreszcie z nimi herbu uczelni? Być może, że uczelnie łódzkie nie mają swych herbów (obym się mylił) Bo to, że w naszym mieście mamy du du do studentów, to chyba nie wstyd, wstyd tylko, że studenci Ci boja się nam ujawnić, bo ja sie, ale czego oni sie boja, Panie Redaktorze? Studenci z Akademii Medycznej były nierwsza jaskółka i chwiała im za to! Oby tym bakylem zarazili sie także słuchacze innych uczelni.

Panie Redaktorze, chciałbym aby ten artykuł rozszedł na łamach „Odgłosów” omawianie szeregu problemów łódzkich wyższych uczelni, ich przyszły rozwój, plany naukowe itp. Poruszając więc sprawę pewnych drobiazgow traktowaną zagadnienie to jako przyczynek do dyskusji na ten temat.

ŁĄCZĘ WYRAZKI SZACUNKU  
ARTUR ROGO



# Siedmiu wspaniałych

Dalszy ciąg ze str. 1

Bolesławca. Ale to był rok 1957 — rok odkrycia wielkiej miedzi. Właściwie przesiedzieliśmy tam do 1959 roku. Syn mi się w Bolesławcu urodził. Kilka miesięcy przedzieliłem w Warszawie, przy projektowaniu nowych kopalni. W roku 1960 byłem już w Lubinie i... zaczęło się. Teraz to sprawy proste, wiadomo — im dalszy szyb, tym lepiej szedł. Wykorzystywało się doświadczenia z poprzednich. Ale ja tutaj musiałem stanąć na trawniku i wszystko zaczynać od skoszenia trawy, a przede mną było jeszcze tych kilkaset metrów w dół.

— Ow pierwszy szyb to był L-3, szyb pilotowy, który miał nam rozpoznać warunki geologiczne w praktycznym drążeniu górotworu. I właściwie muszę powiedzieć, że poszedł mi bardzo szalenie. No oczywiście, były niespodzianki. Powiadomiono mnie, że szyb przytapia. Z dołu, ze spongi, trysnął wulkan wody. Jeszcze wtedy nie miałem kompleksu telefonu. Bo później — mogła dzwonić nawet sąsiadka — dzwonek telefonu wzbudzał we mnie przykre uczucia. Wydawało mi się, że znowu na szybko dzieje się coś niedobrego. Ale to było jeszcze na L-3, który dla uczczenia pierwszego dyrektora, Bolesława Sztukowskiego — nosił dzisiaj miano „Bolesław”.

— \* —

Jadę na kopalnię. Biuro kierownictwa szybów, „Lubin Główny” mieści się przeważnie w łazni. Rury, zasuwę i niklowane kurki pokalnych rozmiarów, jak by symbol, że ludzie tu siedzący mają wiele wspólnego z wodą. Niewysoki ale silny mężczyzna ze szramami na twarzy odkłada lasceczkę sztygara.

— Tak, redaktorze. Właściwie dostaliśmy tutaj za sprawą Ulrycha. W roku 1956 ukończyłem Wydział Górniczy na krakowskiej AGH. Specjalizacja: rudy i sole. Poszedłem jednak na wiecie, urwałem się z kopalnią „Jerzy”, szukałem rzeczy ciekawszych niż rudy żelaza. Poszedłem do Przedsiębiorstwa Budowy Szybów. To była kopalnia „Szczygłowice”, zbudowałem 3 szybów od trawnika do pokładu. Kariera: od sztygara oddziałowego do kierownika górotworu szybów. Trwało to od 1957 do 1960 r. Przyjechałem wreszcie do Lubina, ale na parę dni — odwiedzić kolegę, Jasia Ulrycha. Od tego czasu zaczęły się pertraktacje, przedsiębiorstwo nie chciało się najpierw zgodzić, wreszcie ustąpił.

Trzy miesiące wypowiedzenia odrobiłem i w roku 1961 byłem już w Lubinie. Dyrekcja jeszcze wtedy mieściła się w baraku na Kosciuszki, budowano osiedle awaryjne. Poszedłem na szyb główne kopalni „Lubin” jako zawiadowca. L-1 miał coś 40 metrów, zaczynał głębie inżynier Lengas. Dwojkę sam zaczynałem. Była odwiercona płyta, robiono otwory mroźniowe, mrożenie uruchomiło się jesienią 1962 r. Są, proszę pana, wariatki, którzy sami szukają sobie roboty nielekkiej. Jak w tym powiedzeniu: tak jest, że niektórych ludzi lubi robota, a niektórych pieniądze. Ja należę do tych pierwszych. Na jedynce górotworu szło szybko, dobrze szło. W tym okresie były możliwości dostania mieszkania na osiedlu awaryjnym. Dostałem więc „zaliczkowo” 2 pokoje z kuchnią. Jako kawaler,

Ale w kwietniu 1962 r. — żegnaj semper wolny stan! Siłuba udzielono na lubińskim ratuszu, wesele w mieszkaniu — nie było jeszcze wewnątrz mebli, zresztą przeszkadzałyby. Tylko jakaś szafa i stół, wypożyczone z przedsiębiorstwa. Było ze 20 osób: Ulrych, Lengas, Czarciniński...

Było potem trochę spokoju, urządziłem się w mieszkaniu, w Lubinie. Przygotowałem „Jawę”, mieliśmy z żonąjechać na urlop, na Mazury. Był lipiec 1962 r. Na jedynce dojechaliśmy do 313 metrów. Nad ranem, była może 3-4 godzina, dzwonił Markowski: „Przyjeżdżaj, kryzys. Szyb się topi”. Przyjaliśmy mikrobus, pognaliśmy na kopalnię. Szygar był przytomny, na czas wycofał ludzi z dołu, obezšlo się bez nieszczęśliwego wypadku. Ciśnienie wzrosło się do szybu kurzakwi około 30 atmosfer. Okazało się, że pekiły rury płaszcz mroźniowego, z rur wylewała się solanka i rozmarzała górotwór. Trzeba było regenerować otwory mroźniowe...

Ale najwięcej kłopotów było na L-2, na skipowym. Tedy miało być w przyszłości na powierzchni całe wydobycie kopalni „Lubin”. Cóż z tego, że szyb pilotowy dojdzie do złoza, że zaczyna tam już budować dworce podziemne i chodniki? Bez szybów skipowego kopalnia nie ruszy. A potem to już było tak, że wyprzedziły nas „Polkowice”. Mielł więcej doświadczeń, bo uczyli się na naszych klęskach, mieli wreszcie lepsze warunki geologiczne. Nie było potopu biblijnego. Stosowali podwójny płaszcz mroźniowy. I automatyczne czujniki mieli zakładane na różnych punktach szybów, które informowały o temperaturze i wilgotności. Ale nie o to chodzi.

Na L-2 były wypływy wody. Może trochę ukolysał nas fakt, że L-3, czyli „Bolesław”, przeszedł stosunkowo gracko, nie spodziewaliśmy się, żeby górotwór chciał nam wypłatać jakiegoś nowego figla. Dla czego to miało być pod względem geologicznym inaczej niż na L-1?

Poniżej 400 metrów, kiedy wyszli ze strefy chronionej przez płaszcz mroźniowy — gdzie nie powinno już być wody — spotykało się same niespodzianki. Raz wytrysnęła woda przez szczelinę piktóżarową, między segmentami pierścienia tubingowego. Szczelina miała 3 cm szerokości i długości ok. 30 cm. Wdarła się kurzakwi ze straszną siłą do szybów, strumień wody przebiegł jak nożem liny prowadnicze, których średnica wynosiła 31 mm.

19 czerwca 1964 r. szyb L-2 zatonił na dobre i miała to być najdłuższa trwająca awaria. W tym czasie lechałem samochodem z kolegą, miałem krakke. Stad te szramy na twarzy. Leżałem miesiąc w szpitalu. Na szybów główne przyszedł jako zawiadowca Jasio Ulrych. Zostałem nadsztygarem objazdowym.

— \* —

W tym miejscu powinienem właściwie wrócić do Ulrycha, aby dokończyć jego opowieść. Ale tu miejsce, aby powiedzieć o trzecim, młodszym górniku — Stanisławie Kowale (nazwisko zmienilem na speccjalne życzenie delikwenta). Bystry chłopek, osiadły w Lubinie z rodziną, powiada: — Tego dnia, tuż przed awarią zjechał na dół pan sztygar Glowacki. A my paliliśmy papierosa, na dole zaś palić nie wolno. Sygnalista dał nam znać, bo byliśmy umówieni, że jedzie pan Glowacki. Więc papierosa pochowałem. „Czemu nie idzie ta robotą?” — krzyknął aż echo poleciało do góry. „To są górnicy? To są fałtapy!” A jeden z naszych odpowiedział: „Taki ze mnie górnik jak z pana sztygar. Pan powinien na strusie polować”. I sztygar wtedy wyjechał na górę. Pracowaliśmy przy piktowaniu. To znaczy tak pazywaia, kiedy młotem pneumatycznym kuje się skałę, na spongu. Wtedy gorący żwir się z tego

robi i pryska na twarz i piecze. Zwróciłem się do przewodowego, że noga mi w jednym miejscu wpada, i że miękko. Z tego miejsca potem zaczęła woda płynąć. Po kilku minutach było już 30 cm wody na dnie szybów, po 10 minutach do 1 metra już dochodziło. Zalało szyb — ale nie wtedy przeżyłem największy strach. Chociaż zanim wyjechaliśmy na pomost, było w szybie już ze 20 metrów wody.

Jeszcze wtedy szło górotworu, zakładaliśmy obudowę tymczasową, gdy u góry rozległ się przerażający łoskot. Po chwili poleciała na nas z góry brudna woda, zachlapała nam twarze. Przytuliliśmy się do ociosów i ponieważ nie było drabiny, wszyscy zaczęli się drapać nożami obrudowy w górę. Jedni ścigali drugich, żeby zrobić sobie miejsce do ucieczki. Myśli różne — a przede wszystkim jedna: zlamano szyb u góry! Odcięto nas już na zawiesz, nigdy już z tej czeluści nie wydobędziemy się. Przypomniałem sobie żonę, dzie ci, co oni robią, to są sekundy, kiedy serce człowieka podchodzi do gardła. Ktoś pierwszy odcetchnął i powiedział: — Na new no coś z rurociągami nie w porządku. Sprawdzili, rzeczywiście pekiły tylko rurociągi.

I tak Pierwszego Maja szliśmy przez rynek, trybuna była pod ratuszem — to ci z Polkowice wolali: „Niech żyja ci, co szyb zalewają!”, a dzieci krzyczały „Niech żyja!” i machały chorągiewkami i były brawo, a nas mało szlag nie trafił. Bo o tych z Polkowice gazetki pisały, oni premie brał — a my nic. Jak by nas nie było. Aż wreszcie przyszła radość szybików.

— \* —

Tak to pięknie powiedział młodszy górnik Staszek Kowal, który pasami czyta książki i powiada, że sam to wszystko, co na szybko przeżył, szczegółowo opisał, bo pamięć ma świetną i notatki zrobione w pamiętniku. Lecz historią z szybikiem to dalsza sprawa. Trzeba wrócić do Ulrycha, o którym powiada, że jest pechowu. A jak przyłgnie do człowieka jakaś etykieta — nie odkleisz. Spokojni, rzeczowy Ulrych siedzący w kawiarni „Ratuszowa” jest przeciwieństwem samym Ulrychom, który głębił przakłete, zawodnione szybów główne kopalni „Lubin”, robi znakomite wrażenie, budzi sympatię i zyskuje zaufanie. A jednak...

— Oj, dalszy ciąg opowieści Ulrycha: — Posłali mnie na szybów główne z Polkowice. Na czas usuwania awarii. Kromolowski zatowar nie miał czego. Jakichś specjalnych smaków tam nie było. Założyliśmy korek podwodny, żeby zdziwić wpływ wody i prowadziliśmy cementację wyprzedzającą. Rok impasu miał imię 1965. Na czterech szynch staliśmy z korkami nad tą wodą, w sumie na owe cztery szybów ujechaliśmy 130 metrów bieżących za cały rok. W Polkowicach ujechali ponad 2 tysiące mb. Prowadziłem na L-2 akcję odtapiania. Odtopiliśmy, okazało się, że jeszcze mamy wyływ wody spod nieszczelnego korka. Przyjechali z węglą koledzy, pokazywali mi jak był zatopiony szyb — lustro ustabilizowało się na głębokości 90 metrów od powierzchni ziemi. Wypłynę 4 i pół kubika wody na minutę. Potem, gdy doszliśmy do korka — przepuszczano jeszcze około 2 kubików wody na minutę. Trzeba było nakładać drugi, szczelnniejszy korek. Potem prowadzić cementację wyprzedzającą.

Wypadki? Nie będę mówił o nieszczęśliwych wypadkach, redaktorze. Wszędzie zda rzają się. Rachunek prawdopodobieństwa. Było ich kilka, istotnie, z różnych przyczyn. Ale opowiem panu o własnym: jechałem swoją „Octavią” z żoną i synem z Wrocławia. Pod Środa Śląską na zakręcie mnie wzięło i postawiło na dachu. Poślizg, w tym miejscu było już kilkanaście wypad-

## Nożycami przez PRASĘ

PSEUDONOWOSC,  
PSEUDONOWOCZES-  
NOSC

Stanisław Zieliński, pisarz wcale nie staroświecki, ujawnia wielką odwagę cywilną, obca naszym krytykom, chwalać wznowienia książek w rodzaju „Huraganu” Wacława Gąsiorowskiego. Tadeusz Chrościelewski ukończył pisanie dużej powieści, osnutej wokół powstania styczniowego, a stanowiącej zarazem — przy wykorzystaniu współczesnych możliwości propagatorskich — kontynuację powieści... Skiby-Sabowskiego („Nad poziomem” (1887). Niżej podpisany co jakiś czas kupuje powieści w rodzaju „Walego Łozińskiego „Zaklętych dwóch” i z trudem odrywa się od nich do obowiązków dnia codziennego. Za każdym razem głos sumienia osiąga natężenie wrzasku: „Zostaw, draniu, to czyta-

sko, bo masz tyle pilnych spraw na głowie!” Cytowana na tym miejscu Urszula Koziół („Odra”) — podczas czterech wolnych popołudni, gdyż zwrot „jednym tchem” — dawno utracił dosłowność — Lwa Tołstoją „Wojnę i pokój”. Oznajmia o tym prawie bez żenady, powołując się na to, że wcześniej na szczeskie stwierdzono, iż rosyjski brodac jest wielkim pisarzem. Wielkim? Przecież on więcej wiedział o jego powieści niż ty, bo wiesz, że to jest to. Wielkim? Przecież on stale był na swoich kartkach obecny jako komentator, rezoner, wyraził w swoich myśli, jako sędzia. Na leżał do czasów — „w których pisarz miał władzę nad światem”, mniejsza o to: urojona czy prawdziwa. Dziś tak nie wolno. Nowość za każdą cenę, oto co jest ważne.

Nowość — definiuje Ur-

szula Koziół — „to jak najmniejsza słowność”. Oto z pustego cylindra wyjmujemy dla was — myślicie: królika? Nie. To już było, panowie.

My pokażemy wam, że cylinder jest pusty?

— Nie! To już było, panowie. Pokażemy, że cylinder ma w środku jedwabną, ale spoczną podszewkę, przyszytą ścięciem richelieu...

— Ha! Nie uczucie się zaskoczeni? Skupcie się, na Boga, spróbujcie pojąć, jaki w tym głębszy sens!

Niestety, nie podoba się to poetce wrocławskiej, powszechnie cenionej. Wola więc:

Zacznijmy — na litość boską — rozróżniać: surową i od smolnika; słabę od ugoru; fugę od szlagiera — choć w tym i w tym jest coś z grzybnia, z ziemi i dźwięku. Bo inaczej — przeczytamy coś doniosłego, co doszło tuż pod nasz próg, obrzmiało od znaczenia, i co ktoś jeden, no — trzech, lub pięciu najwyżej — próbuje dzisiaj w zupełnym osamotnieniu przedziwiać dalej ponownym (a więc mieszczącym w sobie także nieefektywny eksperyment) — wysiłkiem.

Ale jak się porozumieć i zrozumieć, skoro i ci, co wystawiają nadpalone drewnianki, przyspane w niektórych miejscach piaskiem, uzupełnione łętami od starych worków, twardo stwierdzają: — Właśnie to robimy!

### FILM POLSKI

Może to nie jest ankietą reprezentatywna, ma jednak swoją wymowę. Zresztą, jakoś tak się zdarzyło, iż spraw filmu polskiego dotąd nie poruszaliśmy w tej rubryce.

Otóż „Świat” podaje wyniki ankiety, rozpisaną wśród swoich czytelników, na temat filmów polskich z 1967 roku. Alarmy z różnych stron słyszemy od dawna. Mimo iż filmowy wynieśli się z Łodzi, która niszczyła ich talenty, jak kiedyś oświadczył mój miły znajomek Antoni Bohdziewicz, na ogół stwierdza się upadek polskiej produkcji filmowej. Jak to wygląda w świetle ankiety „Świata”?

W ubiegłym roku w analogicznym plebiscytcie brało udział 861 Czytelnik „Świata”. Pierwszym sy-

nałem jest więc spadek zainteresowania plebiscytem, wywołany zapewne (co potwierdzi się później) spadkiem zainteresowania filmami polskimi w ciągu roku. Jest to spadek dość spory, ale jeszcze, jak sądzę, nie dramatyczny, choć trzeba o nim pamiętać przy analizie wszystkich wyników plebiscytu.

Pięćset osób to publiczność w średniej wielkości sali kinowej, ale publiczność szeregowa: taka, która wciąż odbiera filmy polskie z zaufaniem i nie tylko je ogląda, lecz ma na ich temat określone własne zdanie i chce je wypowiedzieć publicznie, zapewne w nadziei, że to się na coś przyda, będzie wzięte pod uwagę. Opinii takiej publiczności warto przyrzeć się z uwagą.

Na symbolicznej sali filmowego plebiscytu zasiadło 190 kobiet i 309 mężczyzn w różnym wieku (od 14 do ponad 70 lat). Zdecydowana większość uczestników plebiscytu, to publiczność kinowa dużych i mniejszych miast, w sumie publiczność masowa, a jednocześnie ambitna. Jej reakcje na współczesną polską twórczość filmową są, jak się zdaje, szczególnie ważne.

Uczestnicy plebiscytu ogromną, przytłaczającą większością głosów za najlepszy film polski 1967 roku uznali

„WESTERPLATTE”  
REŻYSERII  
STANISŁAWA  
ROZEWICZA.

Film ten otrzymał 302 głosy pozytywne. Następnym na liście zgrupował już tylko niecałą jedną piątą tej ilości, 70 głosów. Co szczególnie ważne, wśród wszystkich uczestników plebiscytu nie znalazł się ani jeden przeciwnik „Westerplatte”. Na ten i tylko na ten jeden film z całej produkcji rocznej nie padł ani jeden głos negatywny — film został zaakceptowany jednoznacznie i bardzo gorąco. Opinia widzów pokryła się z oceną większości naszych krytyków i działaczy kinematografii.

Za najgorszy film — i to spora ilość głosów (91) — widzowie uznali „Kochajmy Syrenki” reżyserii Jana Rutkiewicza.

Na liście filmów ubiegłego roku znalazł się jeszcze jeden film w sytuacji podobnej, przez jej całkowite odrócenie, do „Westerplatte” — mianowicie „Rzecz boży” reżyserii Marii Kaniew-

skiej. Na ten i tylko na ten jeden film z całej produkcji rocznej nie padł ani jeden głos pozytywny; 44 uczestników plebiscytu uznało film za najgorszy w ciągu roku. W sumie „Bicz boży” znalazł się na szesnastym miejscu listy.

Wszystkie inne filmy miały zwolenników i przez widzów — po zbliżowaniu głosów ostateczna plebiscytowa lista oceny jakościowej wyglądała tak:

- „Westerplatte” (+302),
- „Sami swoi” (+60), „Jowita” (+13), „Sublokator” (+10), „Mordereca zostawia ślad” (+5), „Stajnia na Salwatorze” (+4), „Konarybucja” (-2), „Paryż-Warszawa bez wizu” (-1), „Chudy i inni” (-1), „Gala naprzód” (-15), „Bokser” (-17), „Powrót na ziemię” (-23), „Zwariowana noc” (-27), „Gdzie jest trzeci król” (-33), „Sciana czarownic” (-35), „Malżeństwo z rozsądku” (-36), „Bicz boży” (-44), „Mocne uderzenie” (-47), „Kochajmy Syrenki” (-86).

Podkreślmy jednak, iż jeden rok w twórczości artystycznej o niczym nie decyduje. Czekaemy z nadzieją.

JAN OLECHNO

str. 3



## Wiek złoty

Człowiek, którego nikomu nie trzeba przedstawiać — Adolf Dymśa, albo pan Dodek, jak nazywają znakomitego aktora przyjaciela. Siedzimy w garderobie warszawskiego teatru „Syrena”, za chwilę podniosą kurtynę, a Dymśa pali papierosa za papierosem i ani myśli urwać tej chwili wspomnień o naszym wywołanym swoim pyłaniem o stare, łódzkie czasy.



Rys. Ibis-Gratkowski

Najpierw jest coś, jakby żal: Nie ma już takiego lokalu jak „Piekwicka”. W Warszawie ani na całym świecie.

Dymśa przyjechał do Łodzi w roku 1946, kiedy życie towarzyskie i artystyczne przechodziło swój najbujniejszy okres. Już pierwsze dni pobytu oczarowały go, wszystko było bez zarzutu — publiczność, najlepsza pod słońcem; znajomi i przyjaciele, jakich nigdy przedtem ani potem; kluby i kawiarnie, których mógłby pozazdrościć Paryż.

Dymśa dostał mieszkanie na ul. Zwirki i zajął się w teatrze „Osa”, skąd następnie przeszedł do „Syreny”. Występował też w „Teatrze Powszechnym” za dyrekcji Adwentowicza i uważa ten okres za najwartościowszy w swoim życiu. Grał w „Domu otwartym”, w „Artystach”,

w „Wielkim człowieku do małych interesów” i „Aurora”. Grał także w pierwszej polskiej powojennej komedii „Skarb”, która ponownie rozstrzygnęła jego imię. Film kręcono w Łodzi i Warszawie, w czasie zdjęć Dymśa rozbił się na rowerze i długie miesiące miał tarapaty z nogą. Ale nawet wtedy nie opuścił „Klubu Piekwicka”, gdzie aktorzy improwizowali występy, ad hoc, wyłącznie dla znajomych, były to czasy, gdy nawet poeci nie wstydzili się improwizacji.

Latem przy każdej okazji Dymśa uciekał na zieloną trawę, ale nie jak mieszczuch, tylko jak rybak-amator. Początkowo były to eskapady rowerowe, czasem nawet tramwajowe, bo otrzymał zezwolenie na połowę ryb w majątku Gospodarz, niedaleko Rzgowa. Potem, kiedy upowszechniły się samochody, jeździł z Igiem Sikirycym do Konopnicy nad Wartę, gdzie utopił niejedną haczyk, a o sprzęt nie było łatwo, wędki przyszło im sporządzać własnoręcznie, metoda charakterystyczna. Jeden jedyny raz Dymśa zmienił wędkę na fusz, kiedy przyjaciele zaciągnęli go na polowanie do Tumidaju, dali do ręki bron i kazali strzelać. Dymśa, jak sam mówi o sobie, jest takim strzelcem jak lotnikiem, ale mimo wszystko strzelił zająca, choć nawet teraz nie wie, jak to się stało, że trafił z przeklestej dwururki. Może zdecydowały umiejętności piłkarskie, bo pan Dodek uwielbia football i jeszcze teraz potrafi postać do bramki taką bombę, że Sadek mógłby się od niego uczyć.

To właśnie Dymśa zorganizował słynny mecz piłkarski aktorzy contra bokserzy, w którym zagrał na środku ataku. Zawody wzbudziły ogromne zainteresowanie, na stadionie ŁKS zabrakło miejsc dla wszystkich chętnych, a cały dochód z imprezy przekazano na fundusz odbudowy Warszawy. Zwyciężyli aktorzy, bokserzy domagali się rewanżu i mecz na odbudowę Warszawy stały się łódzką tradycją.

Dymśa urywa nieoczekiwanie, zapala nowego papierosa i te sekundy jakby go odmięniły. W jego głosie znów daje się wyczuć jakiś żal: wspomina tych, co odeszli.

— Schiller żył — Pausa. — Węgrzyn żył. — Zda się, chce w tym momencie powiedzieć coś osobistego, ale słowa nie przechodzą mu przez gardło. Widać znówu milczy. Potem długo przegląda się w lustrze, przykłada sobie wąsy, poprawia brwi.

— Proszę pana — mówi nieoczekiwanie głośno — Łódź, to był chyba najradosniejszy okres w moim życiu.

Szybko wyrzuca z siebie zdania.

— Było wszystko. Teatry, publiczność, przyjaciele. Kiedyś z rana przyszedł do mnie Galczyński, „Zjesz coś może?” — pytam.

„Owszem, śledzi”. Nie miałem śledzia. Poszedł szukać śledzia gdzieś indziej. Czy byliśmy znani? Więc powiem panu: raz na dworcze przywołałem posterunkowego. Nie wiem już, czy ponosił wyszedł od Galczyńskiego czy ode mnie, i mówię do niego, czy by nie podszedł po butelkę, dałem pieniądze. Przyniósł na jednej nodze.

Tylko Łódź umiała kochać artystów.

## Nieustające życie klubowe

Znanego rysownika, pisarza i bywalca — Jerzego Zarubę — odwiedziłem w Aninie, w mieszkaniu, które wynajmuje już od lat trzydziestu. Teraz domek jest obłożony przez śnieg, więc gospodarz go prawie nie opuszcza, ale nie traci humoru, bo ma całą masę terminowych zamówień, a to nieoczekiwane uwięzienie sprzyja pracy.

Gospodarz wyciąga butelkę likieru z podtecznego barku, nalewa do kieliszków skrzyżując się na białą, który rozparł w lazience remont, zaczyna swoją opowieść o Łodzi prawdziwej Ziemi Obiecanej końca lat czterdziestych.

Przyjechał do naszego miasta w pierwszych tygodniach roku 1945, dostaw nie w kilkanaście godzin po ucieczce Niemców. W wyprawie, bo jednak była to cała wyprawa, towarzyszyli mu Stanisław Jerzy Lec i Leon Pasternak. Wszyscy trzej nosili wtedy mundury wojskowe. Ich mocodawcą był Jerzy Borejsza, dyrektor „Czytelni”, organizator ruchu wydawniczego w odrodzonej Polsce.

Z pierwszą częścią bojowego zadania uporali się łatwo. Na Piotrkowskiej się siłą zajęli pokok, w którym miał urzędować sztab satyrycznego tygodnika. Nazwy dla pisma jeszcze nie było, ale odjazd do Łodzi zjechał Eryk Lipiński postanowiono, że będzie to „Szpilki”. Czynnici przygotowawcze przeciągali się, bo brakowało papieru. Głowa muru nie przebiła. Wtedy ciężko prac organizacyjnych wziął na siebie woźny Kazimierz, człowiek wprost nieoceniony, bo doskonale znał Łódź. A Zaruba?

Zaruba objął w posiadanie mieszkanie na Gdańskiej, co jakimś niemieckim oficerze i podejmował znajomych, których los tak że sprowadził do Łodzi. Wspaniale, bo próżniactwo życie toczyło się bez wstrząsów, donosił pan Jerzy nie znalazł karabinu, postanowiono przez poprzedniego właściciela mieszkania. Kiedy odniósł maszynkę na milicję, chciał

no go przyaresztować za nielegalne posiadanie broni. Na szczęście wszystko się wyjaśniło i ku chwale „Szpilek” Zaruba pozostał na wolności.

Potem nastąpił koniec wojny. Dziewięć lat miał Zaruba wyciągnął swój pi stolet i kilkakrotnie wystrzelił na wiatw czyniąc zadość prośbie dozorczy o nazwisku Makucha, który stróżował w domu na Gdańskiej. Popularny rysownik wspomina tamten moment jako dzień poweszechnych szaleństw, wódka lała się strumieniami. Plastyk Henryk Tomaszewski przebrał się dla kawalu w niemiecki mundur i jakiś milicjant chciał go aresztować, o mało nie skończyło się to tragicznie. Artyści nie mieli wtedy zresztą szczęścia do milicji. Kiedyś w nocy Zaruba i Tomaszewskiego odwiedziło mieszane towarzystwo znajomych. Aby oszczędzić

blisko do „Piekwicka”, bo mieszkał w „Grand-Hotelu”, gdzie zajmował pokój z fajnikiem. Ale kapł się najczęściej u Zaruby, weszło mu to w zwyczaj i trzeba się było z tym pogodzić. Tylko raz jeden gospodarz usiłował się przeciwstawić tym praktykom, zresztą w trojce o bezpieczeństwo gości, który leciał z nog i najprawdopodobniej usnął w wannie. Zaruba oświadczył, że nawalła instalacja gazowa i ze względu na brak ciepłej wody kąpiel chyba jednak nie będzie możliwa. Galczyński nawet nie usiłował tego sprawdzić. Oświadczył, że mu to nie przeszkadza, wykupie się w pałacu.

Choć artyści dawno zrzucili już mundury wojskowe, Borejsza w dalszym ciągu dowodził tą armią kultury. Na 1 maja 1946 roku zaproponował, aby wszyscy plastycy wykona-



Rys. Ibis-Gratkowski

li transparenty i ponieśli je w pochodzie. Zaruba narysował słońca. Wypił jak pićko unosił za kolumnier Hitlera dając mu jednocześnie kopniaka w... Hitler był w dalszym ciągu tematem karykatur i satyr. Kiedy Minkiewicz i Marianowicz napisali poetyczną szopkę, nie zabrał w niej, oczywiście, także wodza III Rzeszy, podobnie jak Mussoliniego i Churchilla. Kukły wykonali wspólnie plastycy, a Zaruba nawet nimi poruszał. Teksty czytał Kazimierz Rudzki, ale ich interpretacja nie podobała się Zarubie, co wprost oświadczył lektorowi.

Potem, kiedy instytucje zaczęły się przesuwać do Warszawy, artystyczna Łódź opustoszała. Spotkania były coraz rzadsze, ludzie stracili chęć do kawalów. Doszło nawet do tego, że tematem dnia był inżynier, który spowodował w krowach, jakby uważał, że mogą mu zaszkodzić.

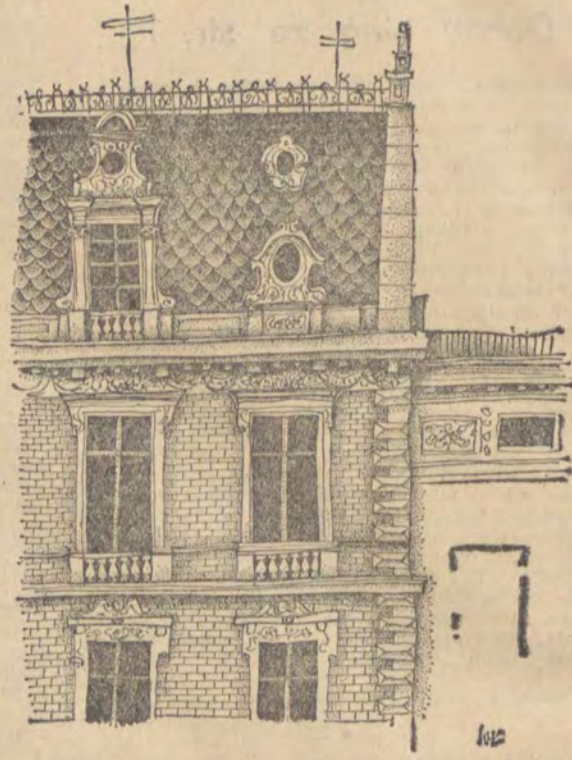
Klub szybko zyskał zaśluzoną sławę, bywali tu ludzie wszystkich bez wyjątku muz. Zaruba przychodził zazwyczaj w towarzystwie Mieczysława Piotrowskiego i Kazimierza Grusa, w kompanii artystów dobrze czuł się Konstanty Hildefons Galczyński, który nie opuszczał żadnego z tych spotkań. Miał zresztą

il transparenty i ponieśli je w pochodzie. Zaruba narysował słońca. Wypił jak pićko unosił za kolumnier Hitlera dając mu jednocześnie kopniaka w... Hitler był w dalszym ciągu tematem karykatur i satyr. Kiedy Minkiewicz i Marianowicz napisali poetyczną szopkę, nie zabrał w niej, oczywiście, także wodza III Rzeszy, podobnie jak Mussoliniego i Churchilla. Kukły wykonali wspólnie plastycy, a Zaruba nawet nimi poruszał. Teksty czytał Kazimierz Rudzki, ale ich interpretacja nie podobała się Zarubie, co wprost oświadczył lektorowi.

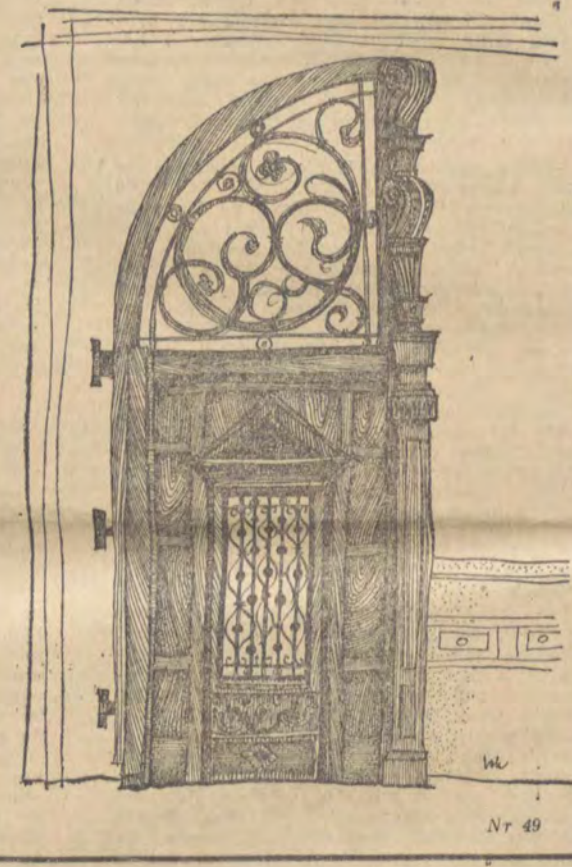
Potem, kiedy instytucje zaczęły się przesuwać do Warszawy, artystyczna Łódź opustoszała. Spotkania były coraz rzadsze, ludzie stracili chęć do kawalów. Doszło nawet do tego, że tematem dnia był inżynier, który spowodował w krowach, jakby uważał, że mogą mu zaszkodzić.

## Z teki Wacława Kondka

### Ulica Piotrkowska



Nr 51



Nr 49

## TADEUSZ GIGIER

### Na zamku w Uniejowie

Przez całą noc padał deszcz, teraz jeszcze szosą czerniała od wilgoci, polyskując tylko tu i ówdzie niewielką kałużą. Szedłem skrajem szosy, pilnie bacząc, by przy którejś z tych kałuż nie zrównać się z przejeżdżającym samochodem. Samochody jeździły jednak wtedy rzadko, raz jeden minęła mnie furmanka jadąca od strony Dąbia pleszych prawie na lekarstwo. Z małym wyjątkiem, bo kiedy znalazłem się za uniejowskim cmentarzem, wyszedł na szosę jakiś mężczyzna, który zmierział widocznie w tę samą stronę.

W oddali, po obu stronach szosy, ciemniały niewysoki las. Jego forpoczta, młodyk sośnowy, powitał mnie rannym mocnym, trzęskim zapachem. Tam w lesie po lewej stronie mam odnależć tę kaplicę-mauzoleum. Niepewnie czuli się widać jej budowniczowie skoro wzniesli ją w tak znacznej odległości od miasta. Słyszałem, że w zamku, swej letniej rezydencji, trzymali straż mundurową, a w pobliskim budynku, gdzie mieści się obecnie kino, stała sotnia kozaków. Niedziwie się, mieli powody do trzymania strażi.

A jak moja „straż przyboczna”? Mężczyzna szedł wytrwale za mną, w pewnej chwili wyprzedził mnie i skręcił nagle w las. Chyba tamteży dochodzi się do kaplicy.

Wiedziałem, że są to puste mury, czego u licha szukać w tym lesie? A może mnie śledzi? Przypomniałem sobie, że w czasie wczorajszych rozmów w Uniejowie pytałem, jak dojechać do mauzoleum. A ten gość wyszedł nagle jak spod ziemi, widocznie czekał na mnie, ukryty za murem cmentarza.

Skręciłem jednak w las. Stał przy krzaku akacji i obrywał listki, tak jak się to robi przy wróżbie „kocha nie kocha”. Nawet to dowcipne. Może myśli, że będą szukał skarbow w kaplicy podobnie jak szukali ich Cyganie.

Kaplicę było już widać na krańcu leśnej drogi. Zaryzykowałem i poszedłem dalej. Nieduża, pusta, wewnątrz odrapana. Wyważone drzwi do podziemia — podziemie także puste. Były w nim trumny pewnie je wywieziono i spładowano. Sprawiedliwość bywa okrutna, choć może lepiej, że nie została wymierzona naszymi rękami.

Gdy wracałem do szosy, mój towarzysz szedł właśnie naprzeciw, uśmiechając się „nastkowo”. Minęliśmy się bez słowa.

Kaplicę-mauzoleum wznosił w ubiegłym wieku Aleksander hr. Toll ówczesny — jak go nazywano — donatariusz Uniejowa, który latem rezydował w uniejowskim zamku. Sam zamek, świeżo odrestaurowany sięga swymi dziejami XIV wieku. Jeszcze bogatsza jest historia miasta położonego po przeciwnej stronie Warty. W swym szkicu historycznym o Uniejowie wydanym w roku 1855, L. P. Witkowski pisze co następuje: „Niezawodnie odległe i zamłone wiekami są czasy założenia Uniejowa; w bliskości wykopują urny pogańskie. Już prawi o jakimś zapadłym mieście Kalinówce i jego posiadcy nawet wskazuje. Miasto Uniejów należy do najdawniejszych posiadłości arcybiskupów gnieźnieńskich. Podanie ludu nieśle, że Uniejów nazywa się od unii czyli małżeńskiego związku poganin z chrześcijanką; czyżby więc to nie odnosiło się do czasów Mieczysława i Dąbrowicy?”

Z zachowanych dotąd przywilejów z Uniejowa datowanych najdawniejszym jest przywilej Leszka Czarnego z roku 1274, nadający Lutomińskowski tytuł miastu na prawie teutońskim i rzymskim. Kroniki nasze dopiero pod rokiem 1304 pierwszy raz wspominają o Uniejowie. W tym bowiem roku umarł tu Jakub Świnka, arcybiskup gnieźnieński; w aktach zaś kościelnych uniejowskich jest wzmianka, iż tenże arcybiskup w roku 1283 wystawił tutaj kościół św. Ducha. Lecz najwięcej ze wszystkich późniejszych arcybiskupów zajmował się tym miastem Jarosław Bogorya Skotnicki.

W połowie XIV wieku Uniejów był jednym z porządniejszych miast w Polsce, posiadał bowiem pięć kościołów, nadto wspaniały i obronny nad Wartą zamek, w którym to składali arcybiskupowie gnieźnieńscy swoje skarby; kilka fabryk (z tych fabryk płótna najwięcej się wda-wiły) oraz wielu rzemieślników których tutaj dobroczynne królów przywileje znęcały. Niemalże wsi do Uniejowa należało, za swym zaś obrębem posiadał bogate wznice, czego dowodem akti urzędowy Wincentego Koła, arcybiskupa gnieźnieńskiego którym on kapitule gnieźnieńskiej czterech beczki wina z winnicy tutejszych zapisał.

W roku 1332 Krzyżacy, łącznie z ludźmi, odstępy Szamotulskiego, całe prawie miasto Uniejów spustoszyli. Wspominał jednak dzieje, że zamek oparł się najdzielniejszym Krzyżowcom. Za staraniem arcybiskupów gnieźnieńskich wkrótce miasto odbudowało i do kwintego doszło stanu, tak że już w roku 1376 odbył się tu sławny synod uniejowski który Długosz i Kromer szczegółowo opisują.

„Pierwszy napad Szwedów na Jana Kazimierza już wiele się przyczynił do spustoszenia tego miasta; zamek uniejowski doznał wtedy tegoż samego losu. Lecz największą klęską dla Uniejowa była powtórna wojna szwedzka za Augusta II, a z nią wiele zaburzeń i domowych wojen, które piękne kiedyś miasto i zamek w tym obróciły. Najwięcej jednak do upadku Uniejowa przyczyniły się pożary w roku 1632, 1633, 1736 i 1816.

W roku 1836 dobra uniejowskie jako własność rządu Królestwa Polskiego darowane zostały hrabiemu Toll, generałowi wojsk cesarsko-rosyjskich. Dziśniejszym ich posiadaczem jest syn generała, Aleksander Hr. Toll.

W roku 1848 zamek wyrestaurował dziśniejszy donatariusz Uniejowa, Pomimo jednak odnowienia smutny dziś widok zwałiska przedstawił zamek uniejowski, do którego zarysowanych wiekiem murów nie bardzo przypadają świeżo dodane niby chińskie dachy i ta odwieczna prymasów naszych siedziba wygląda dzisiaj niby jejmność poddesza z pomarszczoną twarzą, co skroń swa w dziewicze jeszcze przybiera stroiki”.

A jakie były dalsze koleje zamku? Kiedy opuścił go donatariusz? Z jakiego tytułu nastąpiła donacja?

Z tymi pytaniami zwracam się do obecnego gospodarza zamku p. Józefa Kozendry. Pan Józef zastrzegł się, że przybył tu niedawno, a do tej pory miał zwoła inne zajęcia; prowadził dom dla studentów zagranicznych w Łodzi. W ciągu paru miesięcy administrowania nowym obiektem zgromadził jednak trochę materiałów związanych z jego przeszłością przeprowadził też sporo rozmów ze starszymi mieszkańcami Uniejowa. Według powtarzającej się wersji generał Toll otrzymał darowiznę od cara w postaci zamku i dóbr uniejowskich za wybitne zasługi w stumieniu powstania listopadowego. Syn generała, Aleksander hr. Toll, o którym wspomina Witkowski lubował się w zbytku, chętnie przestawał też z kobietami. Naturalną rzeczą kolejną musiał stopniowo wyprzedawać lasy i majątki ziemskie. Zmarł przed pierwszą wojną światową. Jego synowie opuścili zamek z chwilą wybuchu wojny i już go nie odzyskali. Nie chcieli jednak zrezygnować z odzyskania choćby niektórych posiadłości, próby w tym kierunku czynili na rozmaite sposoby. Hra-



# To nie jest dom Ali

Dalszy ciąg ze str. 1

trzech miesięcy. Praktycznie, często przebywają znacznie dłużej, do pół roku, a nawet roku. W domach dziecka panuje przepięknie.

— \* —

Lódzkie domy dziecka skupiają ponad 600 mieszkańców. W tym tylko 36 sierot, a 340 dzieci mających obydwoje rodziców. 417 dzieci oddanych jest pod opiekę społeczna wyrokami sądu, ograniczającym prawa rodzicielskie. Sieroty, posiadające rodziców, okaleczone piętnem rodzinnej tragedii, obciążone kompleksem niższości społecznej, potomstwo ludzi, którym prawo powinno zabraniać płodzenia potomstwa. Ale istnieje tylko prawo zabraniające rodzicom wychowywania dzieci. Czasem to prawo zdoła interweniować w porę, czasem w psychice młodej i wrażliwej pozostanie piętno złego przykładu, złych nawyków, które przyjmują się znacznie łatwiej, niż później dają się wykorzystać.

— \* —

To jest Olek. A to jest tato Olka. Jaki jest tato Olka?

Olek ma 14 lat, a wywłada na 11. Mimo, że jest południe, Olek biegnie przez korytarz w piżamie, na którą włożył granatową bluzę. Ja udaję, że nie widzę piżamy, kierowniczką udaję, że nie widzi bluzę. Wiele udajemy wszyscy, że wszystko jest w porządku i Olek dalej szuka w nerwowym pośpiechu wychowawcy, któremu ma coś bardzo ważnego do przekazania. Tym nerwowym pośpiechem chce pokazać, że wcale się piżamą nie przejmuję. Ale to nieprawda. Piżama na dzień jest największą, a właściwie jedyną stosowaną tu karą. Za ucieczki. Olek stałe ucieka. Nie do domu, on domu w ogóle nie ma. Matka przysłała go do Łodzi gdzieś z podszczęcińskiej wsi. Do ojca. Ojciec zamknął przed nim drzwi. Założył nowa rodzinę i chłopak jest mu niepotrzebny. On nie wie czy to jego syn. Kiedy rodzicom zaczynają przeszkadzać dzieci, najczęściej dochodzą oni do przekonania, że to nie są ich dzieci. Chłopak został na ulicy. Waleś się aż trafił do Pogotowia. Należy go odesłać do matki, tylko trzeba najpierw ustalić gdzie ona mieszka. Waleś się weszło mu w krew. Stałe ucieka z zakładu, wleci się, po paru dniach wraca. Czasem sam, czasem przyprowadzony przez milicjanta. Wiele wreszcie trzeba było zastosować piżamę.

Ale o to jest mi dane poznać jeszcze jednego Olka. Tutaj — jednego z wielu. Przyprowadza go milicjant. Kierownictwo zakładu często prosi milicję o pomoc w takich sprawach. Ten Olek ma 15 lat, ale też na swój wiek nie wygląda. Najwyżej 12. Zatrzymał się przed biurkiem pani kierowniczki. Zaciśnięta usta, spojrenie ucieka w bok, oczy ma suche, aie przed szkolnego, przykusego fartuszka usiany jest drobnymi

kropelkami, które jakoś nie wsiąkała w tkaninę.

— Nie powiesz dzień dobry? — pyta kierowniczką.

— Dzień dobry — mamrocze.

— No i co Olek? Długo cię nie było.

— Długo — zgadza się. — Ja byłem u mamy.

— Mama mówiła, że cię przyprowadzi.

Nie odpowiada, tylko oczy znów czerwienieją. Stoi ze spuszczoną głową, miętosząc pasek od fartucha.

— No, już dobrze — mówi kierowniczką — wrzeć to nie ma sensu. Przyszkaś, że nie bedziesz uciekał?

Milczy, myślę, że nie chce klamać.

— Jak drzwi będą otwarte, to wciąż będą uciekali — mówi milicjant.

— Ja nie drzwiami, ja przez okno — ożywia się Olek.

— Drzwi będą otwarte — mówi kierowniczką — to nie jest zakład zamknięty.

I przecież w końcu przrzeka, że nie będzie uciekał. Czy dotrzyma obietnicy?

— Wszystko było w porządku — oowia- da kierowniczką po wyjściu chłopca — dopóki był tu z młodszym bratem. Onie- kował się nim jak najtroskliwsza matka. Ubiierał, karmił, rozmawiał. To był wi- dok, który wyścisł nam lzy z oczu. Ale tamten jest debilny, trzeba było oddać go do zakładu specjalnego. Od tego czasu za- częły się trudności i kłopoty. Olek zaczął uciekać. A w domu jest jeszcze pięcioro dzieci, ojciec na rencie, a matka niewiele zarabia, nie może wszystkich utrzymać.

— \* —

Zdarzają się nie tylko ucieczki, zdarzają się porwania. Mama Ali jest prostytutką. Mieszkała z dzieckiem w jednej izbie, w niezłym nie krapując się dzieckiem. Często zostawiała dziewczynkę sama w domu na całe dnie w chłodzie i bez jedzenia. Ma- ła dostawała ze strachu ataków histerii, krzyczała, biła piastkami w drzwi. Sąd odebrał matce dziecko. Przyszła wkrótce do zakładu i zażądała oddania matki. Spotkała się z odmową i zdawało się, że zrozumiała perswazje. To był dzień wizyt. Po jakimś czasie wróciła z przyjaciółmi, wśliznęła się za kimś wchodzącym do gmachu i wykradła dziecko. Bedzie musiała interweniować milicja.

Sa i inni, bardziej agresywni. Przycho- dzą podpić, z awanturami, chcą bić. Do- magają się oddania dzieci. Domagają się, bo uważają, że naruszono ich prawo własności. Dziecko należy do nich i oni mogą z nim robić co chcą.

Dzieci mają dużą łatwość zapominania. To dobrze i źle zarazem. Dobrze, bo śla- dy złych przeżyć szybko zacierają się w pamięci i można młoda, wrażliwa psychi- kę kształtować od nowa. Źle, bo łatwo za- pominają jak było w domu, zapominają ra- zy i siłce, zapominają awantury, strach i ból. Tesknią za domem i ta tesknota tworzy miły. Rzadko, bardzo rzadko się zda- rza, by którekolwiek z dzieci wyrażało się źle o swoim domu. Bronia swych matek i ojców, nie przyznają się do złych prze- żyć. Mój tatuś jest bardzo dobry — mówi syn pijaka-awanturnika, moja mama bar- dzo mnie kocha i kupuje mi cukierki. — mówi córka alkoholizki-prostytutki. Nie chcą, by świat wiedział o ich upośledze- niu. Chciał być tacy sami jak inni. Gdybyż tyle ambicji mieli ich rodzice...

— \* —

Dzień wizyt. Jest taki dzień w pierwszej niedzielę każdego miesiąca. Uroczysty, świą- teczny, jakże często dzień nie spełnionych nadziei. Próżnego oczekiwanie i rozczarowa- nia: nie przyszli. Na ten dzień wycho- wawcy przygotowują słodczy, które mają otrzeć lzy i atrakcyjne zajęcia, które ma- ją wypełnić pustkę.



Choć ten zakład jest niestabilnym miejscem pobytu dzieci, etapem na drodze ich życia, wychowawcy starają się, by miały wszyst- kiego czego im dotychczas brakowało. Ciep- ło, spokój, pogodny dzień, dobre, bo podobne jeden do drugiego. Niełatwo jest stwo- rzyć taki klimat w gromadzie ciągle zmie- niających się dzieci, często trudnych, ner- wowych, obciążonych złymi nawykami, nieufnością, żalem. A jednak grono peda- gogów jest tu stałe, rzadko się zmienia, niektórzy pracują tu już wiele lat.

Kierowniczką Pogotowia pani Helena Rembaczowa, doświadczony pedagog i wy- chowawca prowadzi placówkę już dziesięć lat. Potrafiła dobrać pełen oddania zespół o wysokich kwalifikacjach zawodowych i serdecznym stosunku do wychowanków. Poczucie bezpieczeństwa i pewnej stabiliza- cji, codzienne, systematyczne zajęcia, ale i rozrywki kulturalne, teatr, kino, wyciecz- ki, to dla dzieci. A dla wychowawców? U nas jeden dzień jest niepodobny do dru- giego — mówi p. Rembaczowa. Każdy przy- nosi nowe problemy, nowe kłopoty. Tak różne jak różne są ludzkie charaktery. Jak różne są środowiska, z których wywodzą się nasi wychowankowie.

— \* —

— To moja prywatna sprawa, że piję — mówi alkoholik — wydaję moje pienia- dze, niszcę moje zdrowie. Naprawdę? Do-

my dziecka i Pogotowie Opiekuńcze, pro- wadzone przez Łódzkie Kuratorium Szkol- ne, kosztują rocznie około 13 milionów złotych. To jest cena, jaka płaci społeczeństwo za prywatne życie alko- holiczków. Bo liczba dzieci przebywają- cych w zakładach opiekuńczych z innych powodów, w wyniku nieszczęśliwych wy- padków, choroby rodziców itd. jest znikomą w porównaniu z tymi, które przyprowa- dził tu alkoholizm i jego pochodne.

Oczywiście, jest to tylko jedna z cen które płaci społeczeństwo za alkoholizm. Płociowo może nie najwyższa, ale tej wiel- kość jest niewymierna w pieniądzu. Bo jest to cena szczęścia i zdrowia psychicz- nego dziecka, jest to cena jego stosunku do świata i ludzi. Żaden zakład opiekuń- czy, nawet najidealniejszy, nie zastąpi do- mu rodzinnego, nie zatrze uczucia krzyw- dy i żalu.

— \* —

Lekcja się skończyła. Siedmiolatkę zamknęły zeszyty i pobiegły się bawić. W tej chwili nie pamiętają już o lekcji, za- jąte są tylko zabawą. Nie pamiętają zdań zapisanych w zeszycie.

To jest Ala, a to jest mama.

Gdzie jest mama Ali? Gdzie jest dom Ali?

TERESA WOJCIECHOWSKA

bia Sergiusz Toll ożenił się z panną Hoff- meister, córką właściciela byłego ojczyne- go Aleksandrówka. Tollowie procesowali się w okresie międzywojennym z rządem pol- skim o ziemię, którą nabył ich ojciec, choć było wiadomo, że nabył ją za pieniądze ze sprzedaży części darowizny. Gdy nie nie wskórali w kraju, odwołali się ponoc do Trybunału Międzynarodowego w Hadze, który przywrócił im prawo własności lasu na Kacze zwane „Mizefka”. Zarządca tego lasu został potem skoligaczony z Tollami Henryk Hoffmeister o którym się mówi, że w czasie okupacji niemieckiej przyjął volks- liste.

Główna była w swoim czasie w Uniejowie historia tragicznej śmierci pierwszej żony hrabiego Sergiusza, Wandy z Zakrzewskich. Zmarła ona w roku 1921, w pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Okoliczności śmierci były tajemnicze, kraja o nich najrozmaitsze domysły. Powszechnie mówi się że syn przejął po ojcu dużą skłonność do kobiet i miał u siebie utrzymankę, która rzekomo otruła hrabinę. Inni twierdzą, że hrabina otruła się sama. Faktem jest, iż w tej sprawie toczyło się dochodzenie i na po- chowanie zwłok musiała zostać wyrażona zgoda sędziego śledczego.

Podczas gdy rozmawiamy z kierownikiem, jego żona przynosi nam herbatę. „To z pierwszej wody, która dała nam zamkowa studnia — mówi z uśmiechem. — Oczywiście nie obyło się bez kłopotów: na początku pompy zainstalowano wadliwie tak, że zamiast wylatywać woda, wlatywały ją do studni”.

Kierownik jest jednak niezrażony i orze- ka, że to błahostka wobec perypetii jakie miały miejsce po przejściu domu dla za- granicznych studentów w Łodzi. Tam po otwarciu zaworów zostały zalane sufity i ściany, okazało się bowiem, że budowni- czo nie połączyli ze sobą ciągów wod- nych, lecz ujścia ich wpuszcili po prostu w stropy. Ale dom został oddany do użytku w przewidzianym terminie...

— No, z odbudową zamku nie było takiego

pośpiechu — powiadam, wiedząc o tym, że trwała ona jedenaście lat.

A tak — mówi kierownik — tu budow- nictwem przyswlecały na szczęście inne zało- żenia. Prace prowadzone były z dużym plet- yzmem i kosztowały blisko 10 milionów złotych. Szło z jednej strony o zrekonstru- owanie najlepiej zachowanego w Polsce nizinnej obronnego zamku z wieków śred- nich, z drugiej zaś — o przystosowanie tej gotyckiej warowni i renesansowej rezydencji do celów ściśle użytkowych z uwzględnie- niem wszystkich wymogów współczesności. Pytał pan o przeznaczenie obiektu. Powstał tu pierwszy na ziemi łódzkiej „Wojewódzki Ośrodek Sportu, Turystyki i Wypoczynku. W okresie letnim zamek przeznaczony jest dla turystów krajowych i zagranicznych w po- zostających miesiącach będzie on wykorzysty- wany dla celów szkoleniowych. Gdzie będą mieszkać turyści, kursanci i wczasowicze? Proszę, niech pan pozwoli za mną.

Kierownik wprowadza mnie z nieukrywa- ną dumą do pierwszej zamkowej sali. Sala jest obszerna, biały tynek kontrastuje z frag- mentami odsłoniętych ścian gotyckich. Bia- ło zasłane łóżka przy każdym miękkim, ciemnobordowe krzesło i stolik ze stylową noną lampką. Obok sala jadalna, przedzie- lone w połowie ażurową druciana kon- strukcją — kwietnikiem. Lekkie, jasne stoły i krzeselka, nad nimi kute w żelazie świecz- niki. Wyjście na taras, jeszcze nie zagospo- darowany — tam urządził się letnia jadalnia. Sala zjazdowa, stoliki ustawione w podkowie, tablice. Sala klubowa, telewizor, Łazienka, białe kafelki, prysznic. Kuchnia z nowo- czesnymi urządzeniami i dźwiękiem. Obszer- na sala piwniczna — miejsce na przyszła kawiatnie z dąsingiem. Poem dwie głów- ne atrakcje. Obejście po obwodowym murze dziedzińca i trzydziestometrowa wieża, gó- rująca nad starym parkiem. Wąziutkie przejście, kręte schody. Po drodze — wnęka prowadząca do niedużej celi. „Izolacja dla ewentualnych rozrabiaczy” — żartuje kie- rownik. I wreszcie — ganek na szczycie wie- ży. Rozległy widok na nadwarciańskie łąki,

na rzekę. Po drugiej stronie rzeki stara kole- giata i zabytkowa dzwonnica. Obok, trochę na prawo, białe domy miasteczka. Wyglada- ją tak, jakby wdrapały się na wzgórze i już na nim pozostały, choć jest im trochę przyciasno. Jutro tam się wybiorę.

— \* —

Pan Bogumił Ircha, przewodniczący Mie- jskiej Rady, wrócił przed paru dniami do pracy po ciężkiej i długiej chorobie. Jej ślady widać jeszcze na twarzy przewodni- czącego, ale pojawia się na niej słaby uśmiech, gdy mówi rozmówca ślady za swoim biurkiem. Przewodniczący spędził przy nim kawał życia, funkcje swą sprawuje nie- przerwanie od 1946 roku, jest więc rzeczą zrozumiałą, że zdążył się do swego ciężkiego, masywnego sprzętu przyzwyczaić, ba, żyć się z nim.

Co może powiedzieć o swojej długiej kadencji? „Ma ona, jak wszystko w życiu, dobre i złe strony. Dobre jest to, że gdy Rada zaplanuje coś do zrealizowania na przestrzeni paru lat (dzieje się tak często z powodu słabych środków finansowych, braku fachowców i wielu innych trudności) — ja mogę realizację planu dopilnować. Tak było z zakładaniem sieci wodociągowej i kanalizacyjnej, tak z budową ośrodka sportów wodnych, a nawet kwietniki i zie- leńce, z których teraz Uniejów jest dumny — urządziło się przez cztery lata. Niedobrze natomiast, że ludzie przyzwyczaili się do mnie, czasem próbują w taki czy inny spo- sób wykorzystać znajomość a.e. traktuję wszystkich jednakowo, więc nikt nie może mieć do mnie pretensji...”.

Moja uwaga zwraca propozycję wiszący na ścianie pokoju. Odczytuje napis na pro- porcu: „Wojewódzki Komitet Kultury Fi- zycznej i Turystyki — dla miasta, Uniejowa — za zajęcie i miejsca w konkursie na na- jlepiej przygotowaną miejscowość do sezonu turystycznego 1964 r.”. Tak jest już trzy lata z rzędu, w ubiegłym roku Uniejowowi

przypadło nawet i miejsce na tzw. szczeblu centralnym. Pięćnaście historyczne tradycje zobowiązują. O tych tradycjach przypomina także pokój przewodniczącego. W oskłonę szafie znalazł chwilowe pomieszczenie za- łażek regionalnego muzeum: zbiór starych monet, urny, żalobniki — naczynka gliniane, do których wlewano napoje dla duchów, miecz krzyżacki wykopany w okolicach Uniejowa — potwierdzenie tego co o na- jeździe Krzyżaków pisze Witkowski. Pan Ircha pokazuje mi „metryczkę” miecza, wy- stawioną przez Muzeum Archeologiczne w Łodzi. Wszystkie te eksponaty łącznie z tymi które znajdują się czeresowo w mu- zeum sierańskim, zapoczątkują stała eks- pozycję. Kierownictwo zamku przeznacza na nią jedną z salek, druga będzie obra- zować dzieła zabytku. Widomy znak unii, zawartej w ostatnim czasie między prawą i lewą stroną Warty.

— \* —

Gdy schodzę w dół nad Wartę, zaczyna padać deszcz. Jest już ciemno na przystani nie ma nikogo. Czuję jednak przewoźnik z łódka. Odbijamy od brzegu. Myślę, że może to i atrakcja, ale kiedy zamek otwo- rzy na dobre swoje podwoje — trzeba będzie chyba pomyśleć o jakimś moście. Zwłaszcza, że Warta ma zwyczaj wylewać dwa razy do roku, wiosną i jesienią. Raz przetrzył już taki rozlew i jakiś czas byli odcięci od świata, zupełnie jak za obłożenia Szwedów...

— \* —

Wracam szosa do Uniejowa, kapłace-mau- zoleum mam już daleko za sobą. Przed wy- jazdem wybrałem się jeszcze zobaczyć tę smętną pamiętkę po byłych właścicielach zamku. Istotnie, potwierdza się to, co mi mówiono: nie ciekawego. Zaintrygował mnie tylko ów mężczyzna, który szedł krok w krok za mną. Ogładam się, szosa jest pusta. Mój zagadkowy towarzysz został widocznie w lesie.



# Stare wspomnienia

Nad brzegiem jeziora stał samochód, przy nim myjąc karoserię krzątały się dwie osoby: mężczyzna i kobieta odziani kąpielowo. Samochód reprezentował typ Citroena, model z lat trzydziestych, mężczyzna był w wieku starszym, kobieta niewiele młodszą.

— Kochany gracie — powiedziała czule, gładząc mokrą ściereczką maskę samochodu. — Dzięki niemu poznaliśmy się.

— Rzeczywiście — rzekł mężczyzna. — O ile w ogóle można mówić o roli przypadku w życiu człowieka, my jesteśmy najlepszym tego przykładem. Ten samochód, przyczynił się do naszego zblżenia.

— I małżeństwa, Kochany wehikuł.

Przez chwilę tarli w milczeniu rozgrzaną letnim słońcem blachę samochodu. Mężczyzna przerwał zajęcie, oparł wygodnie nogę na zderzak.

— Pamiętam, wyjechałem wtedy poza miasto...

— I spotkałeś mnie, na spacerze.

— Właśnie, to było zastanawiające: młoda, przystojna kobieta i sama.

— Przejazdka samochodem w tamtych latach stanowiła pociągający luksus. Dlatego nie odmówiłam.

— To był nasz pierwszy bardzo przyjemny kontakt.

— Niezupełnie, zachowałeś się wtedy dość brutalnie.

— Przepraszam — mruknął mężczyzna.

— W ogóle sprawiałeś wrażenie człowieka, dla którego takie przygodne kontakty były chlebem codziennym.

— Przesadzasz.

— Zatrzymanie się w lesie, propozycja spaceru „na łonie natury”, koc, który nieoczekiwanie znalazł się w twoich rękach... — ciągnęła rozjątrzoną głosem kobieta.

— Skończmy ten temat. — Mężczyzna wrócił do intensywnego polerowania samochodu. — Mamy jeszcze dużo roboty.

— Praca nie zajmie, nie uciekniesz. A porozmawiać sobie możemy.

— Późno już.

— Dałam ci wtedy odpowiednią nauczkę. To był nieoczekiwany dla ciebie finał tej randki, podrażnił twoją ambicję.

— Nie jesteś daleka od prawdy. — Dlatego mną się zainteresowałeś, Casanova...

— To stare dzieje.

— Często urządzałeś podobne eskapady?

— Z jednego incydentu wyciągasz ogólne wnioski.

— Ciekawa jestem, czy z innymi miałeś podobne trudności.

— Raz się ożeniłem.

— Rozumiem, więc byłam tą jedyną kłopotliwą dziewczyną. Z pozostałymi szło ci lepiej. Oczywiście, samochód zapewnia w takich sytuacjach stu procentowe powodzenie.

— Co innego też...

— Kuba Rozpruwacz — mruknęła pogardliwie kobieta.

— Proszę się, skończmy ten temat. To było czterdzieści lat temu.

— Bądź konsekwentny, jak się coś zaczęło — trzeba ciągnąć dalej.

— I to ma być weekend?

— Bawie się świetnie.

— Ja mniej.

— Zrozumiałe, na tym gruncie czujesz się niepewnie. W późniejszym okresie, w tajemnicy przede mną, kontynuowałeś także swoje miódzięcze rekonesanse poza miasto.

— Pamiętam — wtrącił mężczyzna. — Wróciłem pewnego razu wcześniej.

— Po nieudanym skoku.

— Nie przerywaj. Więc wróciłem wcześniej, niż zamierzałem, drzwi mieszkania były zamknięte. Otworzyłam mi dopiero po pewnym czasie i nie trudno było stwierdzić po twoim wyglądzie, że przed chwilą pożegnałaś się z kimś pośpiesznie.

— I ten ktoś opuścił mnie niepostrzeżenie — odpowiedziała drwiąco kobieta, starannie ukrywając nagłe zażenowanie. — Bo przecież pokoje były puste.

— Kochana, mieszkamy na parterze, przy wiecznie otwartych oknach. Dyskretnie to wszystko zarejestrowałem.

— Masz dobre mniemanie o sobie. Węszyszyeś wtedy po mieszkaniu, jak wyżeł.

— Jest faktem, że nie byłaś sama, i zdarzało się to niejednokrotnie.

— Obrażasz mnie. Z drobnych sytuacji wyciągasz zbyt pochopne konkluzje.

— Twoja taktyka ciągłego oburzania się w tym miejscu wspomnień nie zwiedzie mnie.

— To jest oburzające.

— W tym czasie leżał obok ciebie niejednokrotnie miłe wrażenie, że to miejsce jest zarezerwowane dla kogoś innego.

— Ja doświadczałam podobnego uczucia, siedząc przy tobie w samochodzie. Dlatego przestałszy razem jeździć.

— I sypiać.

Długi czas milczeli wzdłuż ściereczkami po powierzchni samochodu, lecz bez entuzjazmu i zaangażowania.

— Nasze rozmowy, dotyczące przeszłości, mają przeważnie tło erotyczne — mruknęła nagannie kobieta.

— Sama prowokujesz ten temat.

— Topimy w nim bezlitośnie, wiele innych, miłszych wspomnień.

— Wyciągając na wierzch tylko najbardziej jęczące i już nieaktualne.

— Właśnie, dlaczego tak postępujemy? — zastanawiała się kobieta. — Po co wracać do spraw tak wyblakłych i wielokrotnie już przetrawionych. To jest dobre dla młodych ludzi.

— No, kończmy pracę — odezwał się mężczyzna. — Samochód, jak lustro.

— Kochany gracie — powiedziała czule kobieta. — Dzięki niemu poznaliśmy się.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

## Sprawy zwykłe też są ważne

Autorka zbioru krótkich opowiadań „Chudy i Chuda” — Mieczysława Kaut choć urodzona (w 1942 r.) w Lwowie, stała się — jak informuje nota od wydawców — Łódzianką „z wyboru”. W Łodzi ukończyła bowiem wydział operatorski PWSTiF, tutaj należała do Koła Młodych przy Oddziale ZLP, a obecnie jest pracownicą telewizji łódzkiej, biorąc również udział w działalności Studia Małych Form Filmowych. Tytuł tomu „Chudy i Chuda” sugeruje jakiegoś groteskowego skojarzenia, ale w istocie tytuł ten jest nazwiskiem pary małżeńskiej występującej w jednym z opowiadań, co się zaś tyczy groteski, znajdziemy jej w debiutanckiej książce Mieczysławy Kaut bardzo mało.

Freud powiedział, a raczej napisał kiedyś, że — cytując z pamięci — „najmniej znaczące pozornie wydarzenia mają w naszym życiu wagę największą”. Z tą tezą wiąże

się niewątpliwie znane zjawisko psychologiczne, że w pamięci ludzkiej utrwalają się często najmocniej fakty i przeżycia obiektywnie drobne, blade, powszednie, podczas gdy zdarzenia nieprzeciętne, ważne, istotne, szybko ulegają zapomnieniu. To wszystko przyszło mi na myśl przy lekturze opowiadań pani Kaut, których treść są wyraźnie sprawy zwykłe i małe nie sięgające w sferę problemów trudnych i nadzwyczajnych. Ale tak czy owak są to zawsze sprawy ludzkie, a więc zasługujące na uwagę i refleksję.

Nie omyli się chyba twierdząc, że autorka opowiadań, o których tu mowa, nie troszczy się zbyt o stronę fabularną i pojęcie tych utworów. Nie brak wśród nich takich, które są zaledwie blahym zarysem, mglistą formą mini-nowelistyczną, w której można by zamknąć bardzo rozmaistą treść (np. „Dwoje na brzegu”, „Poszukiwanie

miodu” i in.). Wyobraźnia, domyślność czytelnika mogłyby w tych przypadkach tworzyć — wedle jego możliwości indywidualnych — różne konstrukcje fabularne. Są też w zbiorze pozycje, zawierające jakby warianty tego samego wątku treściowego (np. „Piekiło, niebo”, „Test”, „Poszukiwanie”; warto dodać że „Test” jest zwięzłym, lecz bardzo udanym studium kobiety o tzw. ptasim mózdziku). Głównym celem autorki zdaje się jednak być zawsze wywołanie nastrojów i napięć uczuciowych, wynikających z codziennych stosunków międzyludzkich, bez ich udziwniania czy dramatyzowania — i cel ten nierazko Mieczysława Kaut osiąga. Osiąga — co należy podkreślić — środkami prostymi, oszczędnymi i przy chwalebnej dbałości o stylizacyjną poprawność.

Jeżeli książkę debiutancką jest to niewątpliwie sukces poważny i do dalszych prób pisarskich zachęcający. Najistotniejsze jest chyba to, że debiutancka pragnie i potrafi kroczyć własnymi drogami i realizować własne koncepcje literackie; nie zawsze jeszcze w sposób doskonały, lecz z pewnością zasługującą na uwagę i życzliwą ocenę.

\* „Wydawnictwo Łódzkie” str. 147; 5 mb, cena zł 10.—

MARYNA CWIETAJEW

Jeszcze wczoraj — w oczy patrzył śmiało,  
Dziś po kątach spogląda — sploszony.  
Jeszcze wczoraj — nocy nie starczało  
Od dziś wszystkie skowronki — wrony

Jestem głupia — a ty: wszechwiedzący.  
Takiś żywy — ja się w słup zmieniłam.  
Szloch kobiet przez wieki biegnący:  
„Ukochany, co ja ci zrobiłam?!”

Lzy jej woda, Krew jej — tylko woda.  
Może w łzach i we krwi myć się cała.  
Bo na łaskę czekać — czasu szkoda,  
Kiedy Miłość — macochą się stała.

„Zabierają lodzie zakochanych,  
Uprawdzą ich białe drogi...  
Tylko jak ten po ziemi całej:  
„Cóż takiego zrobiłam ci, drogi?!”

U nóg moich leżał wczoraj jeszcze,  
Mówił, że miłuje mnie nad życie.  
Niespodziewanie — rozłączył ręce:  
Zardzewiałym grozmem spadło życie.

Jak dzieciobójczyni przed sądem  
Stoję — nieśmiała i niemila,  
Ale krzyknę — nawet w piekle będąc:  
„Ukochany, co ja ci zrobiłam?!”

Pytam krzesel. Nawet pytam stołu.  
„Za cóż cierpieć, za cóż w takiej biedzie?!”  
— „Zacatował cię. Dziś lamie kołem:  
Dziś całuje inną” — odpowiedział.

Nauczywszy mnie żyć wśród płomieni  
Na lodowej zostawił pustyni.  
Cóżes ty, miły, mi uczynił!  
Cóż takiego zrobiłam ci, miły?!

Niekochana. Znów jasnovidząca  
Wiem już wszystko. Tylko nie przecz, nie przecz!  
Tam, gdzie Miłość nas odrąca  
Zawsze przyjdzie ogrodnica — Śmierć.

Oto czas, by wstrząsnąć drzewa,  
Niech upadnie jabłko dojrzałe.

Tylko ty mi wszystko to przebac,  
Miły mój, co ci zrobiłam.

Przełożył: HENRYK PUSTKOWSKI

MICHAŁ KWLIWIDZE

## Ty i ja

Ach odejść. Baw się, baw w rozstanie.  
Ono nas przecież nie oddala.  
Bo ty — to ja. I gdzieś jest krawędź,  
Która rozdzieli nasze ciała.

Rozłąkę sam obmyśliwałem,  
Alem niczego w niej nie odgadł...  
I nigdy Cię nie wspominałem,  
I nigdy Ciebie nie zapomniał.

Wydaje mi się gierką śmieszna  
moje i Twoje rozłączenie.  
Mną jesteś. Między mną a mną  
nie może istnieć oddalenie.

Głuptasku, kwiaty rwij, śpij smacznie  
albo wymykaj się z pościeli.  
O, wymyśliłaś, że Ty właśnie  
kroczyś aleją Rustaweli?

To przecież ja. I moje oczy  
na ziemię spuszczaś, wznosisz w górę;  
I towarzyszy moich głosy  
już rozróżniłaś, już rozumiesz.

Dziś tylko jedno mnie przeraża  
i grozić będzie bezustannie:  
Bo Ty — to ja, bo Ty to ja...  
Co będzie, jeśli mnie nie stanie?

Przełożyła: DOROTA CHRÓSCIELEWSKA

MICHAŁ KWLIWIDZE

## O Ojczyźnie

Ziemia nazywa się Ojczyzną,  
jeżeli kochasz ją głęboko.  
Ochraniasz jak tęczęwki w oku  
i srożej niż życie bronisz.  
Lecz jeszcze bliższą ci się staje  
ta Ziemia, kiedy ty z oddali,  
krzyczysz z nostalgii rozszalałej:  
— chcę wracać do mojego domu!

Przełożyła: DOROTA CHRÓSCIELEWSKA



# Coś do czytania

Przełamujemy nowości, kupujemy nowości, oceniamy nowości. Zastanawiamy się nad budową utworu beletrystycznego, podpatrujemy chwyt i sposób pisarskiego warsztatu, podziwiamy (lub nie) formę, porównujemy pozycję jednego pisarza z pozycją innego, wciągamy wnioski. Ale kiedy poczytamy się tym wszystkim zęczeni, kiedy rozważania nasze wydadzą się nam samym mało płodne, chcemy po prostu przeczytać coś zajmującego, co by nas wprowadziło w świat dobrze opowiedzianych wydarzeń, gdzie akcja toczy się warłko, a my jesteśmy w nią całkowicie wciągnięci. Czy natrafiamy na takie książki w literaturze współczesnej? Ależ tak. Mam właśnie pod ręką zbiór opowiadań wierszy (zajmujących), Czyta się je jednym tchem. Autor zdaje się kpić z wszelkich eksperymentów, nie sili się na żadne wynalazki w zakresie kompozycji czy języka, świadomy swoich talentów narracyjnych opowiada nam historie, które się wydarzyły i opowiada je znakomicie.

Aleksander Lernet-Holenia obchodził 21 października 1967 roku swoje siedemdziesiąte urodziny. Z tej okazji prasa wiedeńska poświęciła mu sporo uwagi, przypominając zarówno fakty z jego biografii, jak i omawiając jego dość bogatą twórczość. Lernet-Holenia jest poetą dramatycznym, powieściopisarzem i nowelistą. Jego wiersze, „Na śmierć Rainera Maril Rilkego” który stał się kiedyś wydarzeniem wskazywał zaręczając na to, że Rilke był od początku jego mistrzem poetyckim. Dla polskiego czytelnika będzie z pewnością ciekawie jeśli dowiemy się, że Lernet-Holenia (jak wielu innych pisarzy austriackich) do siada w swoim dorobku utworów o tematyce polskiej. Otóż w r. 1931 wydał on powieść „Przygody młodego pana w Polsce” (Die Abenteuer eines jungen Herrn in Polen) której akcja dzieje się w czasie pierwszej wojny światowej na Lubelszczyźnie. Dlaczego powieść ta nie została do tej pory na nasz język przetłumaczona — trudno mi powiedzieć. Ofiarowano nam natomiast wybór jego opowiadań „Mona Liza”, dokonany z dwu jego tomów „Mayerling” i „Götter und Menschen”. Opo wiadania te mogą z czytelnikom bowiem łączyć owo że sobie przyjemne z pożytecznym. Krytycy zaliczają ten rodzaj twórczości do „Unterhaltungs-literatur” (literatura rozrywkowa), ale przecież może być dobra i dla literatury rozrywkowej. Opowiadania Aleksandra Lernet-Holenia reprezentują dobrą literaturę rozrywkową, tzw. literaturę rozrywkową z ambicjami. Autor dysponuje dużą umiejętnością techniki narracyjnej, a że tematem swoich opowiadań czyni przeważnie wydarzenia

historyczne, dostarcza czytelnikowi nie tylko rozrywkę, lecz także pewnego quantum wiedzy o dziejach dawnych i współczesnych.

Tom „Mona Liza” zawiera osiem opowiadań. Jedno z nich („Dwudziesty lipca”) dotyczy wydarzeń związanych z zamachem na Hitlera w 1944 roku, pozostałe sięgają w przeszłość bardziej oddległą. „Mayerling” to głośna na schyłku dziewiętnastego wieku historia arcyksięcia Rudolfa austriackiego następcy tronu, który popełnił samobójstwo, zabijając przedtem swoją ukochaną — baronównę Mary Vetsera. Inne utwory sięgają w wiek osiemnasty, siedemnasty, a nawet szesnasty jak to dzieje się w opowiadaniu tytułowym o przedziwnej miłości pewnego arystokraty francuskiego do „Mo ny Lizy” da Vinci. Jest też rzecz z epoki starożytnej („Bieg maratonski”) o owym chłopcu, który po przyniesieniu do Aten wieści o zwycięstwie rzucał martwy na rynek. Te piękna i krótka nowela winni przeczytać wszyscy sportowcy i kibice, żądnym sukcesów i zemocjonowani zawodami na boiskach świata.

Uważnego czytelnika zastanowi z pewnością fakt, dlaczego Lernet-Holenia sięga z takim upodobaniem do tematy z życia arystokracji. Sadza, że fakt ten przynajmniej częściowo da się wytłumaczyć arystokratycznym pochodzeniem samego autora (jego ojciec miał przodków w wysokiach rodach francuskich). Stał też elegancją i wytwornością stylu, dyskrecją i oszczędnością wyrazu. U Lernet-Holeni nie znajdziemy rozdzierających opisów i scen melodramatycznych. Obecnie jest wszelkie przesadne obrazowanie. Nawet przy opisie sytuacji wysoce dramatycznych (samobójstwo arcyksięcia Rudolfa), a zwłaszcza wtedy potrafi zachować powściągliwość i stara się być szczególnie czujny i uważny. Umiać i wdzięk — oto główne przymioty piarstwa Aleksandra Lernet-Holeni.

Chciałbym zacytować krótki fragment końcowy z noweli tytułowej „Mona Liza”. Pisarz, zastanawiając się nad pobudkami postępowania swego bohatera, snuje takie refleksje: „Próbowano umotywo wać jego czyn romansem, w którym odegrała rolę jakaś kobieta. Ale prawdziwych przyczyn nikt nie zna. I też znać nie może. Nikt nigdy nie zna prawdziwych przyczyn czegoś, co jest. Twierdzone że niekiedy, że obraz znajdujący się w Luvrze nie jest autentyczny, lecz sfałszowany. Ale twierdzić coś podobnego znaczy nie mieć pojęcia ani o wielkości prawdziwego artysty, ani o miłości”. Musicie przyznać, że jest to opis elegancji, a literacko — nienaganny. Część za sługi ma w tym tłumaczka, Edda Werfel która opowiadała Lernet-Holeni przyswoiła polszczyźnie z niezbedną w tym przypadku lekkością.

\*) Aleksander Lernet-Holenia: „Mona Liza”, opowiadania, przełożyła Edda Werfel, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1967.

# Z warsztatu łódzkich filologów

Powstanie Katedry Filologii Germańskiej przy Uniwersytecie Łódzkim wiąże się ściśle z nazwiskiem znanego germanisty polskiego, prof. dra Zdzisława Żygulskiego, mieszkającego obecnie we Wrocławiu. Znakomity uczeń był pierwszym kierownikiem tej Katedry, powołanej do życia wraz z utworzeniem Uniwersytetu Łódzkiego tuż po II Wojnie Światowej. Pracę swoją rozpoczął prof. Żygulski z niewielką grupą młodych filologów, którzy jednocześnie studiowali, prze ważnie anglistykę w Katedrze prof. dra Tadeusza Grzebińskiego. Absolwenci tej grupy cieszą się dziś ustaloną marką w polskim świecie germanistycznym.

Pod kierunkiem naukowym prof. Żygulskiego pracował także obecny prodekan Wydziału Filologicznego UL, doc. dr Arno Will. Początkowe badania doc. Willa obracały się wokół problematyki ludowej w literaturze niemieckiej, obszar językowy; następnymi dotychczasowymi tematami były: „Polska i Polacy w wiedeńskiej komedii ludowej”. „Karl Emil Franzos — przyczynki do zagadnienia postaci Polaków w literaturze niemieckiej XIX wieku”. „Polska warstwa językowa w niemieckiej prozie o tematyce polskiej XIX wieku”.

Praca doc. Willa w zakresie tej problematyki ma charakter zdecydowanie pionierski. Niemiecka literatura naukowa pomija te sprawy niemal całkowicie zaledwie cztery utwory o tematyce polskiej. Doc. Will odkrył już ponad przysła takich dzieł. Ich autorami są pisarze, którzy nie stronili od prezentowania ostrych problemów społecznych, jednakże na wikszość z nich wydała historia literatury wyrok zapomnienia. Tym większą więc zasługą dla żmudnych poszukiwań łódzkiego filologa, który pracownie wy dobywał spod kurzu obojętne, ważne dla nas dzieła literackie.

Dwom pracom doc. Willa poświęcimy więcej uwagi. We wspomnianej rozprawie pt.: „Polska warstwa językowa w niemieckiej prozie o tematyce polskiej XIX wieku” autor omawia zagadnienie, które dotąd w niemieckiej literaturze naukowej nie zostało opracowane.

Wewnętrzna konieczność utworu niemieckiego o tematyce polskiej wymaga stosowania w tekście wyrazów, zwrotów, zdań polskich i łączenia obu warstw językowych w jedną integralną całość. Powstaje w ten sposób tzw. melanz, który jest zwykłym oryginalnym wytworem pisarzy. Wzoruja się przy tym n. bogatej dwujęzycznej prozie niemieckiej XVII i XVIII wieku. Chodził w niej głównie o to aby czytelnika swoiście zabrać. Jednakże autorzy utworów o tematyce polskiej stawiają sobie inne cele. Traktują konflikt życia i narodowe poważnie. Zadbają o możliwie realną rekonstrukcję pejzażu polskiego przez stosowanie polskich nazw miast, wsi, osad, gór, rzek oraz nazwisk i imion. Występujące błędy w pisowni: „Wetka dolna”, „Polonina”, „Franzisek”, „Kosziusko”, „Dambrowski”, „Dombrowski”, „Jeszcze Polska nie zginęła”, „Jeszcze Polska nie zginęła”, uważa autor rozprawy nie za wynik świadomego posunięcia pisarza, lecz za trudność jaką mieli czerzyć z odczytaniem rekopisu; dodają się również do tego powierzchowna korekta tekstu.

Powodem błędów jest także stosowana przez wielu pisarzy własna transkrypcja fonetyczna, np.: „Ploczk”, „Kamienicz”, „aby nie czyta „Plok”, „Kamieniek”. Również nosów ki mają swołsta transkrypcje: „Nalencz”, „Polingwiza”, „Niez bendzie pochwaloni”, „Liczne wtręty: „Czapka”, „Rokoz”, „Brindza”, „Bulawa” mogą się wydać zbędne, skoro można je oddać w języku niemieckim. Jednakże pisarze pragną wywołać specyficzna atmosferę w recepcji przedstawiając obraz estetyczny o zabarwieniu egzotycznym którego pisarz nie wy dobyłby słowami niemieckimi. Przejawia się w tym funkcjonalność melanzu który wpyka się w użyciu zwrotów, słów powitania, pożegnania, zachwytu: „Upahdam Bonuk” (odam do nog), „Oh Bosu”, „Tak mi Boze dopomuz”, „Niez bendzie pochwaloni Jezus Christus”, „Proszę piek nie”.

Często występuje niezachowanie rodzaju gramatycznego właściwego wyrazom polskim: „Nova miasto”, „Pana Bartek” (pan B.), „Pana Twardowska” (pani T.); niewłaściwy przypadek: „Ohne die Pami” (bez panów); silne sugerowanie się gramatyką niemiecką: „Rosbujnikis” (rozbojnicy), „Panowies und Panies” (panowie i panie), „Pirokils” (pierogi); tworzenie liczb po jednocy od słowa „cham” przez dodanie niemieckiej końcówki „-er”: „Chamer”; da H. Wachsmuth rodzaj żeń ski od „Lach” jest „Lachin”, liczba mnoga od „gospodynin” — „Gospodyninen”.

Przykłady te mówią o dążności oddziaływania na czytelnika niemieckiego bez troski

o poprawność językową. Istnieją jednak powieści, które są nienaganne w rysunku dwujęzycznym; wywołują pożądany nastrój i zarazem nadają pewną szlachetność poczynaniem stąpania dwóch języków. W tych utworach polska warstwa językowa nie jest elementem szluznym, wypływa z atmosfery rozmów z charakteru osoby mówiącej dokumentując w ten sposób obce podłoże narodowe. Zjawisko to urzeka swoją obcością i zapobiega spychaniu warstwy polskiej w regiony zwykłego zdobnictwa (M. v. Ebner-Eschenbach, L. Sacher-Masoch, R. Skowronnek, A. Bronkowski, M. Roskowska).

Polska warstwa językowa w prozie niemieckiej XIX w. daje artystyczne świadectwo o polskości terenów na których nawet długoletnie zabiegi germanizacyjne nie zdołały zmusić ludność do wyrzeczenia się języka ojczystego. \* \* \*

Dru ga rozprawa, wybrana z wielu którą pragniemy pokrótce omówić jest praca pt.: „Obraz Polki w niemieckiej literaturze XIX wieku”. Dzieła te nie przedstawiają wprawdzie pełnej wizji świata naszych prababek, jednakże ujawnia zasadnicze walory, które stały się przyswojone Polakom a które już wówczas słynęły na całym świecie z urody i wdzięku. Utwory niemieckich pisarzy porównują je do pierwszych dam salonów paryskich, do niewiast o błyskotliwym dowcipie i wyjątkowym powa bie. Przypisują im także niezrównane mistrzostwo w zachowaniu wiecznej młodości. Jednakże nie tylko zewnętrzne walory decydowały o wysokiej wartości polskiej niewiasty. Uzbrojona była bowiem w najwyższą godność ludzką, jaką jest głębokie poczucie patriotyczne, co w oczach niemieckich pisarzy XIX wieku stawało Polkę ponad niewiasty innych narodów. Nie była tylko wzorowa żona matka, lecz pulsowała zarazem żywa, dynamiczna namietnością walki o wolność narodowa. Przewyższała swoim patriotyzmem nawet mężczyzn. Umilowanie kraju w

dobie ucisku i niewoli było silne i czyste, pozbawione wyrachowania, chęci zdobycia sławy lub chwały; wynikało z entuzjazmu dla idei wzniosłej i szlachetnej. Sacher-Masoch (szef policji we Lwowie w latach czterdziestych ubiegłego wieku, zagorzały wróg Polaków) uważa że rycerski duch skupił się nie tylko w jakiejś jednej kobiecie. Dla niego każda Polka jest aktywna patriotką, porwująca najbliższe otoczenie swoim zapalem do walki o wyzwolenie kraju. Zdaniem Ebner-Eschenbach postawa społeczna niewiasty polskiej sprawia, że różni się ona zdecydowanie od niewiast innych narodów, a przede wszystkim od ruchliwej, pracowitej i gospodarnie swojej uległości u potomków „poteżnych Teutonów” najwyższym uznaniem. Od dawną zwała Polka z konwencjami hamującymi jej udział w życiu politycznym dlatego ukartowana jest przez mężczyzn z wyjątkowym szacunkiem.

W literaturze niemieckiej XIX wieku znajdujemy także taki typ Polki która nie czuje powołania ani do walki z bronią w rękę ani do pracy konspiracyjnej, przeżywa ją jednak otaczając szczególną troską i sympatią. Ten typ wzbudza zainteresowanie i sympatię pisarzy zwłaszcza dlatego że te Polki, gdy o ich rolę ośmieli się prosić Niemiec lub Rosjanin, nawet jeżeli kochają, dumnie odpowiadają że nie mogą wyjść za wroga ojczyzny.

Omawiane cechy niewiasty polskiej nie dają wprawdzie pełnego obrazu, mamy jednak tutaj do czynienia z jakimś trafnym symbolicznym skrótem wymykającym z faktu, że każda epoka tworzy swoją własną hierarchię wartości cech charakteru bohatera. Szczupłość ram naszego pisma nie pozwala na pobieżne omówienie innych rozpraw doc. Willa o tematyce polsko-niemieckiej, w badaniu której przeciw polskiemu germanisty niekiedy nie warto by było opublikować tych prac w wydaniu książkowym?

## spektakle tygodnia

TEATR WIELKI			
„Halka”	1	1276	100
„Dama pikowa”	1	1276	100
„Straszny dwór”	1	1276	100
„Zemsta nietoperza”	1	1276	100
„Carmen”	1	1276	100
NOWY			
„Trzy białe strzały”	5	2500	100
„Damy i huzary”	2	1400	100
NOWY — Mała Sala			
„Skiz”	3	600	100
„Swierszcz za kominem”	1	200	100
JARACZA			
„Nie zapomnisz owych dni”	1	633	100
ROZMAITOSCI			
„Ogniem i mieczem”	2	1266	100
7,15			
„W czepku urodzona”	4	1684	100
OPERETKA			
„Niedziela w Rzymie”	6	4400	76
POWSZECHNY			
„Tango”	1	660	99
„Tajemnica starej wierzby”	2	1320	99
„Radziwiłł, Panie Kochanku”	2	1200	95

# Łódzkie teatry na półmetku sezonu

Redakcja „Ogłosów” zwróciła się do krytyków i recenzentów teatralnych z prośbą o wypowiedź na temat sytuacji repertuarowej naszych teatrów. Drukujemy wypowiedzi w kolejności ich napływania. Jako pierwszy zabiera głos red. Jerzy Panasewicz. W następnym numerze — Władysław Orłowski.

### SZANOWNNY PANIE REDAKTORZE!

Obawiam się, iż nieco zbyt pochopnie rozpisał Pan ankiety dotyczące oceny łódzkiego sezonu teatralnego, który istotnie — kalendarzowo rzecz biorąc — dobiega właśnie półmetka. Gdyby zechciał Pan po

czekać miesiąc czy dwa, gdzieś do chwili gdy powołane przez Towarzystwo Przyjaciół Łodzi jury będzie przyznawać tradycyjną już Nagrodę Srebrnej Łódki, być może mógłbym pisać mniej gorzko, gdy w tej chwili niewiele przyjemnych rzeczy będę miał do powiedzenia.

Sprawa bowiem już nie w tym tylko, że mieliśmy za ledwie kilka ciekawszych premier, ale w niezwykle małej ilości jakichkolwiek premier w ogóle: wczesna jesienią teatry łódzkie dogrywały pozycje przygotowane u schyłku sezonu minionego, następnie — w związku z 50 rocznicą Rewolucji Październikowej — zobaczyliśmy kilka sztuk o nieco większym ciężarze gatunkowym, a wkrótce potem rozpoczęły się ferie szkolne, rozpoczęła się tzw. „akcja choinkowa” i afisz z zaroli się od rozlicznych baśni, bajek, adaptacji i przeróbek w rodzaju „Ogniem i mieczem”, „Radziwiłł, Panie Kochanku”, czy „Trzech białych strzał”. Jeżeli przypomnę, że w repertuarze Teatru 7,15 nadal wkrzymuje się przygotowana przed dwoma laty „wiązanka” najslynniejszych

szlagierów z międzywojennego dwudziestolecia pod wdzięcznym tytułem „Taka noc nie powtórzy się więcej”, a Teatr Nowy — co mu się zresztą chwali — nadal od czasu do czasu prezentuje widzom „Sen srebrny Salomei”, ten sam, którym otwierał sezon 1966/67 — okaże się, iż od jesieni po dzień dzisiejszy niewiele nowego wydarzyło się w łódzkich teatrach.

Jestem członkiem Klubu Krytyki Teatralnej i w sezonie bieżącym otrzymałem kolejno cztery zaproszenia na sesje wyjazdowe Klubu (nie liczę tu katowickiego Festiwalu Sztuk Rosyjskich i Radzieckich) do ośrodków — jak to się zwykło mówi — prowincjonalnych, z pewnością od Łodzi nie mocniejszych, zwłaszcza jeżeli chodzi o same zespoły aktorskie. Cóż powołać nam te ośrodki? Poznań: prapremiera „Bajjisy Teofanu” Tadeusza Miłochńskiego i „Beremikę” Racine’a.

Wrocław: „Różę” Zeromskiego, „Życie snem” Calderona i głośna już inscenizacja „Snu srebrnego Salomei” Słowackiego.

Arbuzowa, Ifigenie w Taury dzie” Goethego, „Jak wam się podoba” Szekspira i prapremiera sztuki czeskiego pisarza Kundery „Klucze”.

Kraków: „Fantazego” Słowackiego, „Powrót do domu” Pintera, „Laznię” Majakowskiego, „Hamleta” i „Cymbelina” Szekspira.

Nie wchodzi tu w ocenę są mych przedstawień, niektóre były bardzo wysokiej klasy, inne słabsze, trzeba jednak przyznać, iż dobór repertuaru, był każdorazowo kuszący, świadczący o dużych ambicjach, chociaż — co widać z zestawienia — skierowanych przede wszystkim w stronę klasyki.

Czym zaś mogłaby ewentualnie zrewanżować się Łódź? Z pewnością nie farsa Skowrońskiego „W czepku urodzona” i nie bardzo niedobry „Zie.onym gilem” w Teatrze 7,15, które to premiere każą się ponownie zastanowić nad dalszymi losami tej sympatycznej, ale wciąż nie mogącej odnaleźć własnej drogi scenki.

Z pewnością nie przegrana już w samym założeniu adaptacja „Ogniem i mie-

czem” w Teatrze im. Jaracza, nie „Swierszczem za kominem”, nie „Skizem”, nawet nie „Damy i huzarami” w Teatrze Nowym, chociaż przyjemnie jest móc powiedzieć, że reżyserki talent Witolda Zatorskiego zdaje się wiele zapowiadać na przyszłość.

Mamy więc cztery i tylko cztery przedstawienia, które się jakoś liczą: „Blacharz burmistrzem” Holberga w Teatrze Nowym bądź co bądź prapremiera polska, starannie przygotowana, dość zabawna, ale mimo wszystko nad rzetelną przeciwność nie wybiegająca.

Niemalże to samo — z tą jedną poprawką iż sztuka była już w Łodzi i nie tylko w Łodzi grana — dałoby się powiedzieć o „Przełomie” Larwreniewa w Teatrze im. Jaracza — spektakl solidny, nie z tych jednak, które „wybuchają na scenie” potrzebny nie stanowiący jednak żadnego kroku naprzód w sposobie traktowania rodzimej klasyki rewolucyjnej.

Pozostałaby jeszcze „Noc spowiedzi” Arbuzowa w Teatrze Powszechnym — wartościowa jako polska prapremiera, interesująca jako spektakl i błyszcząca wielką rolą Jerzego Przybylskiego; pozostałaby również „Kacze” Hauptmanna w Teatrze Nowym — sztuka od dawna w Polsce nie grana, przez teatr przygotowana rzetelnie ale zapewne przez historyczne oddalenie i dość dziś staromodną manierę pisarza autora nie mogąca rozpaść widzowi.

Bilans osiągnięć jest tedy więcej niż skąpy a konieczność ustawicznego sięgania po słowa „rzedny”, „poprawny” i „staranny” nie uprawnia do nadmiernego optymizmu — pocieszać się jednak myślą, iż na pełną ocenę sezonu mamy prawo czekać ładnych parę miesięcy...

JERZY PANASEWICZ



# NOWOŚCI WFO

Obserwacja twórczości filmowej Łódzkiej WFO, pozwala nam sądzić, iż w niedługim czasie możemy się stać świadkami zmian szlaku przez placówkę. Firmowane przez WFO filmy, to coraz częściej te gatunki twórczości, które trudno traktować w kategoriach filmów oświatowych czy popularno-naukowych, choć ta dziedzina twórczości pozostaje w dalszym ciągu głównym trzonem działalności tej instytucji. Tkwi w tym zjawisku jakaś naturalna prawidłowość której źródła szukać należy we współczesnych tendencjach filmu krótkometrażowego w ogóle. Dąży on do poszukiwania nowych, bardziej atrakcyjnych form wykładu oświatowego czy naukowo i prowadzi do pewnego zatarcia ścisłych ograniczeń gatunkowych. Nie sposób równie nie dostrzec tego iż w tak ogromnej zbiorowości autorów filmowych jaka skupiona jest przy WFO, muszą znaleźć się twórcy, którym indywidualny temperament i zdolności każą poszukiwać najwłaściwszych form wypowiedzi artystycznej. Ostatnie przeglądy nowości organizowane przez WFO potwierdzają w całej rozciągłości te kierunki działalności twórczej.

Niedawno opuścił Wytwórnię film, o którym na pewno wiele się będzie mówiło. Jest nim „ARCHEOLOGIA” w reżyserii A. Brzozowskiego ze zdjęciami J. Czeczka. Rzadko dane nam jest oglądać krótko metrażowe filmy o tak olbrzymiej sile wyrazu i tak znakomitej dramaturgii.

Towarzyszmy w filmie eklektycznej, uczestnicząc w kolejnych etapach pracy zorganizowanej według wszelkich zasad archeologicznej. Wechodzimy w głąb ziemi by poznać ukryte w niej tajemnice przeszłości. Pełni podziwu i szacunku dla systematyczności i precyzji dokonywanych odkryć przegadamy się wydobytym z ziemi przedmiotom, których abstrakcyjność stopniowo zaczyna przybierać konkretne kształty materialne, znane nam w naszej życiowej codzienności. Patrzymy na troskliwie oczyszczony z pyłu zerek, nożyczki, skorbukę z namalowaną laiką na cekin i potuloną puderniczkę. Nasza zwykła ciekawość dla systemu nieznaną nam pracę zaczyna powoli usopować uczuciom grozy i przerażenia. Zaczynamy rozumieć, iż archeologia może dotyczyć przeszłości tak straszliwie niedawnej, tak przerażającej wówczas, gdy wydobywa się jej tajemnice ukryte nie tylko pod ziemią, ale i za kolezastymi drzwiami.

Brzozowski i Czeczka pracowali w absolutnej niemal ciszy przerywanej jedynie szmerem odsuwanej ziemi i narzędzi w rękach archeologów. Autorzy filmu przemawiają

do nas obrazami i wieloznacznymi napisami, które przerywając obraz, nazywają zarówno przedmioty nierozpoznawalne jak i te, co do których znaczenia nie mamy wątpliwości. Te pozornie niepotrzebne słowa funkcjonują bezbłędnie w całej strukturze tego filmu skomponowanego na zasadzie powolnego rozszerzania naszej wyobraźni i potęgowania wrażenia.

Ten znakomity film każe nam jeszcze raz zastanowić się nad niewdzięcznym losem krótkiego metrażu, którego kontakt z odbiorcą jest tak często sprawą zupełnego przypadku.

Choć niewątpliwie film Brzozowskiego wysuwa się na plan pierwszy spośród wszystkich nowości WFO, z satysfakcją musimy odnotować i inne udane propozycje tej wytwórni. Jej twórcy kontynuują między innymi cykl filmów poświęconych sztuce.

T. Stefanek zaprezentował nam „TAKI ŚWIAT”, film poświęcony twórczości Nikifora. Świat Nikifora ożył na ekranie przemawiając sła swą prostotą, która w konfrontacji z poetyckimi tekstami Harasymowicza i Sliwiaka nabrała wrzuszających podtekstów. Sądzić należy, że wybór tematu przez T. Stefanika nie jest przypadkiem lecz wynikającym z pełnego zrozumienia, a także miłości do obrazów krynickiego mistrza. Film bowiem przemawia głównie nie artystyczną kalkulacją lecz dużym ładunkiem emocjonalnym.

Nie można tego niestety powiedzieć o „ANIOLACH BIZANCJUM” A. Jaskólskiej, w których trudno dopatrzyć się zarówno metody jak i pasji artystycznej. Film nie funkcjonuje nawet jako pozycja katalogowa dla miłośników sztuki. Nie ma tematów samogrających trzeba do nich znaleźć właściwy klucz.

Świadomość tego towarzyszyła na pewno Wandzie Rolny, gdy przystępowała do realizacji swej „WYSTAWY MARZEN” Ta opowieść o dziecięcych marzeniach wypowiedzianych słowem i obrazem wymagała precyzyjnej selekcji i organizacji. Rolny przedstawiła ten żywiołowy i wrzuszający świat dziecięcych doświadczeń, wiedzy, fantazji i marzeń z wycuciem absolutnej harmonii słowa i obrazu. „Wystawa marzeń” to uroczy i wesoły dla dorosłych pouczający film.

Stanisław Kokoszka specjalizując się w portretach polskich mistrzów słowa literackiego zaproponował swój nowy film „NA TRAKCIE POBOK SKAWY” poświęcony Emilowi Zegadłowiczowi. Na filmy tego typu zapotrzebowanie społeczne jest ogromne i każdy z nich witany jest, zwłaszcza przez szkoły, z ogromną radością. Stanowią bowiem bardzo istotny moment w procesie szkolnego wykładu.

Z życzliwością śledzimy zatem poszukiwania twórców zmierzające do znalezienia możliwie naciekawszych rozwiązań artystycznych dla niełatwej formy portretu bio-

graficznego. Ostatni film Kokosza jest tych poszukiwań wymownym przykładem i za to nasze podziękowania, którym niestety muszą jednak towarzyszyć pewne formalne zastrzeżenia. Wydaje nam się, iż w wypadku filmów oświatowych i popularno-naukowych sprawa którą musi decydować o kształcie filmu jest wybór adresata mimo owej ogólnej założenia popularności. Brak zdecydowania musi zważyć na całość. W wypadku filmu Kokosza jest to szczególnie widoczne. Twórca zdając sobie sprawę z tego, że postać i twórczość Zegadłowicza nie jest zbyt znaną odbiorcy starał się włożyć w swój film dane biograficzne, ocenie twórczości a nade wszystko uchwycić jej klimat. Gdyby swój film proponował Kokoszka tylko szkole, w części informacyjnej wyreczyliby go nauczyciel, któremu pomogłaby ogromnie piękna, poetka, tworząca znakomity klimat świadomego wyobcowania się z ogółu publiczności, niepoddawania się bezkrytycznym zbiorowym reakcjom widzów, musi wyrobić sobie własny sąd.

Popelniono bowiem grzech, który nazywa się złamaniem stylu, dograzono go w dodatku komentarzem wówczas, gdy przestał być tekstem literackim znakomicie podawanym przez W. Siemioną.

„POLSKIE MONTMORENCY” St. Grabowskiego to film zrealizowany ze smakiem, kulturą i taktem. Wycięcie tych nieco ogólnikowych epitetów wydaje się jednak usprawiedliwione tematem, który łatwo mógł stać się banalnym „wyciskaczem lez”. Znajdywanie bowiem uchwytów śladów tragicznego trwania polskości na ziemi tak dalekiej, choć gościnnej zawsze wywołuje jednakoż uczucia.

W zaprezentowanym ostatnio zestawie różnorodnych form i tematów filmowych znalazły się jeszcze dwa godne uwagi filmy: „OD RUDY DO STALI” J. Arkusza i „WODA ŻYCIA” A. Domalewskiego. Film Arkusza ze zdjęciami W. Powady wprowadza nas w świat wiekiego przemysłu, odkrywa tajniki przeobrażeń i piękno procesów chemicznych i fizycznych zachodzących na etapie, który dzieli rudę żelaza i kawałki stali. Film Arkusza i Powady nie tylko uczy, daje również wspaniałe wrażenia estetyczne wtedy, gdy wprowadza nas w głąb huty a nawet pieców martenowskich.

O filmie Domalewskiego „Woda życia” zrealizowanym w stepach Mongolii wystarczy powiedzieć, iż spełnia wszystkie warunki, jakie stawia się przed dobrym filmowym repozycją.

Kończąc tę z konieczności skróconą relację ze spotkania z filmami WFO, pragnę zachęcić Czytelników, by częściej próbowali spojrzeć na je filmy nie tylko jak na dodatki do mniej lub bardziej atrakcyjnej pozycji fabularnej.

## Tele - obiektyw

# Świeża pieczeń i podgrzane konserwy

Dochodzę do wniosku, że nie jestem dobrym odbiorcą telewizji. Podobnie jak nie jestem wdzięcznym widzem teatralnym. Będąc od lat recenzentem, na każdym spektaklu — zamiast bawić się i wrzasać — oceniam. To tak jak gdyby wychodzić z własnej skóry i stawać obok.

Recenzent nie może zatrać się podczas przedstawienia, dać się ponieść bez rezerwy bezinteresownym wrażeniom. Musi strzec swojego świadomego wyobcowania się z ogółu publiczności, niepoddawania się bezkrytycznym zbiorowym reakcjom widzów, musi wyrobić sobie własny sąd.

O ile takie profesjonalne oglądanie przedstawień daje mniej osobistej przyjemności. Obowiązek recenzenta kładzie się na człowieka ciężarem, zmusza do stałego napięcia i czujności, które to stają się jak wiadomo zaprzeczeniem relaksu.

Z telewizją jest u mnie znowu sprawa inna. Nie pisuję wprawdzie systematycznych recenzji, ale i nie umiem skupić się bez reszty na doręcznym percepcyjnym programach TV, bez wybiegania myślą dalej. Przypominam raczej kogoś, kto siadł nad brzołem strumienia, patrzy w przepływający pod nogami nurt i myśli o tym, w jakim to kierunku ta woda popływie, dokąd zanieśie, jeżeli po prostu poddać się jej biegowi.

Telewizja to wciąż jeszcze nie rozwiązana zagadka. To skala, której szczyt kryją gesty chmury. Bo co my właściwie możemy powiedzieć o jej przyszłości, perspektywach rozwojowych? Prawie nic.

Możemy wprawdzie odwołać się do doświadczeń tych krajów, które wyprzedziły nas o kilkanaście lat w rozwoju telewizji. Po prostu wcześniej wystartowały. Weźmy dla przykładu Stany Zjednoczone. Odrzućmy te elementy, które w telewizji USA są specyficzne dla społeczeństwa kapitalistycznego, a więc dla nas w sensie doświadczeń bez użyczenia (komercjalizacja programu telewizyjnego, reklamowanie go wstawkami reklamowymi, finansowanie programów nawet artystycznych i rozrywkowych przez koncerty przemysłowe, czy domy handlowe). Co pozostaje?

Profesor Jerzy Topolitz, który wrócił niedawno z rocznego pobytu w Stanach, wypowiedział w rozmowie ze mną opinię, że telewizja amerykańska ogranicza się coraz bardziej do roli środka przekazu filmów. Oczywiście nie licząc dzienników TV, nadawanych na żywo ze studia, ale z większym niż u nas udziałem filmu.

A więc teatr TV emitowany ze studia, programy rewii, a nawet dyskusje przed kamerami, reportaże i inne formy publicystyki rejestrowane są uprzednio na taśmie filmowej, montowane i przykrwane do najwygodniejszego standardu czasowego (różnego dla różnych typów widowisk). W ten sposób program dnia realizuje się, sięgając kolejno po ułożone na regale pudełko z taśmą filmową.

Ten system ma niewątpliwie swoje dobre strony. Eliminuje przede wszystkim poślizg czasowy. Czas trwania projekcji można, przemierzysz taśmę, ustalić z precyzją dokładnością. Jedyną rzeczą, to nieprzewidzianą przez wy spowodowane zerwaniem się filmu. Operowanie filmem telewizyjnym w miejsce teatru TV likwiduje wszelkie wpadki, przejęczenia aktorów, dramatyczne dziury wywołane zapomnieniem roli, hałas w studio nie przewidziane scenariuszem, ukazanie się w kadrze cienia mikrofonu czy długiego obiektywu kamery telewizyjnej.

Możliwość tego typu niezachwiania realizacyjnych jest przy bezpośredniej emisji ze studia nieograniczona. Pamiętam jak w jednym ze spektakli aktor, który właśnie ułożył się do snu, zerwał się natychmiast jak sprężyna z legowiska, sądząc że już nie jest na wizji. Innym razem w dekorację, na tle której wyświetlano własne napisy końcowe kostiumowego widowiska, wszedł — jak Piłat w Credo — strażak pilnujący w studio bezpieczeństwa (jak to się dziś zwykło mawiać) p. poź.

A więc film telewizyjny, pozwalający dzięki technice montażu uniknąć tego typu potknięć, ma swoje poważne zalety. Będzie on z pewnością

cia i u nas stosowany coraz szerzej. Tym bardziej, że nie które formy studyjnych widowisk TV są niczym innym jak tylko próbą naśladowania filmu. Zapożyczają jego technikę montażu, sposoby przenoszenia się w czasie i przestrzeni, nie mogą mu natomiast najchętniej dorównać pod względem sprawności.

Ale nie chciałoby się pogodzić z perspektywą pochłonięcia przez film telewizyjny teatru TV. Likwidacji niedościgniętych technicznych widowiska towarzyszą bowiem pewne zjawiska negatywne. Coś niedostrzegalnego i trudnego do określenia wyparowuje z montażowo wygładzonych i technicznie nienagannych widowisk.

To coś łączy się właśnie ze specyficznym odbiorem przez widza spektaklu nadawanego bezpośrednio ze studia. Publiczność jest świadoma ryzyka, z jakim ścierają się realizatorzy widowiska i wykonawcy. To dodaje sprawy pikantnego smaku. Dla analogii: gospodyni domowej może nie w pełni udąć się pieczeni, a przecież wolimy to niż podgrzane konserwy.

W czasie ostatniego „Wieczoru przy kominku”, nadanego 1 lutego, (na marginesie: była to rozmowa o wiele mniej udana od poprzednich z tej serii, uboga treściowo, unstroniona owym ciągłym „częstuje się!” padającym z ust Rudzkiego...) Gustaw Holoubek mówił o tym, jak aktor przeżywa spektakl teatru TV, świadomy tego, że w momencie gdy wypowiada swoją kwestię oglądają go miliony. Na myśl o tym aż dreszcz przejmuję!

Film telewizyjny, którego produkcja w Polsce wreszcie przestała być mitem, witały jako cenne wzbogacenie programu. Nie chcielibyśmy jednak widzieć w nim likwidatora teatru TV i innych pozycji programowych, których nadawanie na żywo ma swój smak.

Władysław Groni

## POLETKO TELE— OBIEKTYWU

nr 9

**RADOSNY KOMUNIKAT:** Do PTO zaczęły napływać listy od Czytelników! Dziękujemy! Będzie wykorzystywać w miarę możliwości.

\* \* \*

**PARODYŚCI I PODRYWACZE.** A oto fragment listu podpisanego kryptonimem „Pik”: „...w ostatnim programie reżyserowanym przez Pana Rzeszowskiego tłem śpiewającej Pani Stenji Kozłowskiej były Pani Iwona oraz Pan Ryszard, który pił „brudzia” z Panią Iwoną oraz wyraźnie ją podrywał. A władza wie po co ta uroczą parą tam była?” PTO zgadza się z korespondentem. Udział pary aktorów łódzkich w takim charakterze w „Paradzie parodystów” był niepotrzebny i żenujący.

\* \* \*

**HASŁO DNIA:** Czytelnicy współredagują PTO!  
W.O.

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Oddzieleni dziesiątkami lat od czasów, gdy powstała sienkiewiczowska „Trylogia”, omieszczeni słowem klasycznym, zapominamy czasem, iż była ona największym bestsellerem w dziejach kultury polskiej, że powstawała w atmosferze dopingu i wyczekiwania czytelników na ciąg dalszy, że dopiero potem znalazła się na honorowych półkach wszystkich bibliotek.

Strzelamy tu z dużej armaty, ale rozgłoszą nas fakt, że trudno o przyzwoiciejszą nas do bestsellerów i atmosfery im towarzyszącej. Gdzieś tu szanse dla tego typu sukcesów, jeśli każda książka, która ma ku temu dane, zdobywamy dzięki niesłychanie pozytywnej znajomościom w ulubionej księgarni, to znaczy wydaje się ja nam spod łady. Widać zbyt mocno ceni się u nas słowo kultura, by choć sporadycznie traktować ją również jako byznes.

Nieoczekiwanie, co brzmi tu niemal paradoksalnie, udało się przelać ten brak tradycji instytucji, której działalność idzie przeciwko zarówno w kierunku formowania oblicza kultury, jak i liczenia się z merkantylizmem tej dziedzinie. Chodzi oczywiście o władzę naszej kinematografii. Zaliczyły one na swe konto największy

bestseller lat powojennych — opowieść o „CZTERECH PANCERNYCH I PSIE” Janusza Przymasowskiego i Konrada Nalepczyńskiego.

Mając za sobą dwukrotną prezentację w telewizji, posiadamy dziś możliwość oglądania wieloepizodowej serii w kinach; a wszystko dlatego, że zorientowano się w porę, iż na skutek braku umiejętności przewidywania, pierwszy okres przysług „pancernych” dzieł od następnych niestetychale długi w Polsce czas pisania scenariuszy i realizowania odcinków dalszych. Ponieważ widać czeka, niecierpliw się i nie może liczyć, jak kiedyś, na szybki ruch pióra pana Sienkiewicza, trzeba mu zatem ulubionych bohaterów pokazywać, by o nich nie zapomnieli. Wyświetla się więc „Czterech pancernych” w kinach i nie narzeka na brak frekwencji. Dobry to i, jak się rzekło, rzadki domysł.

Mówiło się i pisało o tym filmie wiele i robi się to nadal, z najprzeróżniejszych zresztą pozycji traktując. Nie bez kozery, mówiąc o tej serii, jako o bestsellerze, nie używam określenia młodzieżowy choć bowiem na adresatów tych filmów typowane może dzieci i młodzież, przed telewizorami i w salach kinowych zasiadają również dorośli. Przyczyną tego faktu rozsyfrować chyba nie trudno.

Twórcy filmu wybrali model najbardziej wypróbowany — opowieść pozytywną i konstruktywną, w której znaleźć można prawdy proste, choć podstawowe, w której sprawdzić można to co nazywa się dobrem i złem. Klania się tu gdzieś z daleka baśń, z całym zapieczem uznaniem w niej kooptacji. Znajdujemy więc bohaterów, których pozytywność — szlachetność, odwaga, patriotyzm — sprawdza się przede wszystkim w konkretnym działaniu; znajdujemy okoliczności zawsze temu działaniu towarzyszące — niebezpieczeństwo i zło, które trzeba pokonać; znajdujemy przysiężki, które można wierzyc. Pamiętano nawet o odwiecznym przyjacielu człowieka — psie, lecz konia żołnierskiego musiano zamienić już w żołą. Te baśń stworzono bowiem dziś, wpisano ją więc w realia współczesności, odwołując się do ludzkiej pamięci i pozwalając jej trwać wśród tych, którzy z rzeczywistych oczywistych pamiętać nie mogli.

Baśnie spisywały swój kodeks moralny, w filmowej opowieści o „pancernych” wydobyto te jego punkty, które sprawdzić można było w sytuacjach, w których przyszło żyć i działać bohaterom. Nie komplikowano w filmie tego kodeksu, nie dano miej-

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE

sca żadnym rozterkom czy wahaniom bohatera, nie zglebiono psychiki bohaterów lecz dano im cel, który mieli osiągnąć — zwycięstwo nad wrogiem. Pomóc w tym miała wola działania, walka, odwaga, szlachetność i miłość ojczyzny. Mocną stroną filmu jest właśnie rysunek postaci, rysunek prosty, nieskomplikowany, ale trafny w swej różnorodności typologicznej. Jak przysięgano na baśń, domniemu w tej opowieści typ bohatera lu dowego, w którym współwystępują bohaterstwo, spryt i komizm. Ale baśń bez atmosfery wielkiej przysięgi nie byłaby baśnią, na te więc orwędzie postawiono w filmie, wykreślając czas, w których była ona koniecznością codziennego działania.

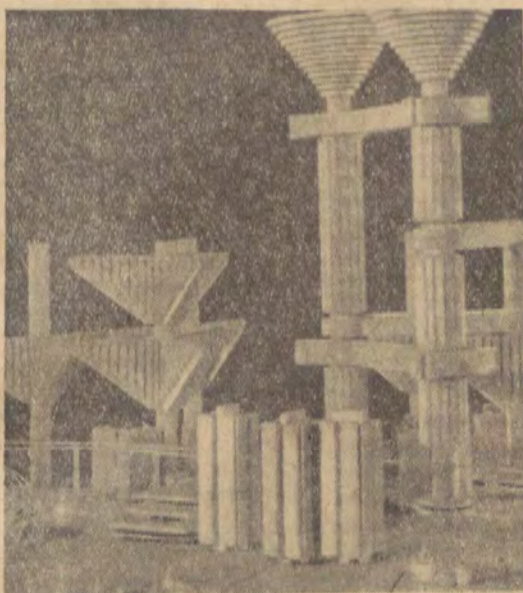
Nikomemu dziś w Polsce nie uda się nie znać sylwetek „pancernych”, ezolgu i psa, nie uda się nie wiedzieć o setkach „Klubów Pancernych” i nie słyszeć imienia Szarika, które zdobyło tysiące uroczych kundli.

Mamy jak się powiedziało bestseller, który wyrósł widać ze społecznego zapotrzebowania. O społecznej zaś roli „wiesci gminnej” dawno temu powiedziano bardzo mądre słowa.



# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje



## MIASTA PRZYSZŁOŚCI

Gwałtowny wzrost miast zmusza urbanistów do szukania nowych rozwiązań budownictwa mieszkaniowego. Miasta, rozciągające się, jak dotąd, coraz bardziej wszędzie, zajęłyby wreszcie całą powierzchnię ziemi. Nie byłoby więc ani gruntów uprawnych, ani lasów i parków. Jak temu zaradzić? Propozycje są rozmaite. Niektórzy szukają rozwiązań w konstrukcji gigantycznych miastostw przetrzuconych np. przez La Manche, inni proponują budowę miast w kształcie olbrzymiego, odwróconego leja, poszerzającego się ku górze. Jedno jest wszakże wiadome — trzeba szukać rozwiązań w pomysłach rozwoju miast w kierunku pionowym. Jest to w zasadzie myśl niemożliwa. Z tych to właśnie założeń wynika budownictwo drapaczy chmur, ale takie jednak rozwiązanie w stosunku do potrzeb jakie się wyłonić muszą, nie jest wystarczające. Jednym z oryginalnych pomysłów jest projekt amerykańskiego architekta Richarda Buckminstera Fullera. Zgodnie z jego założeniami, podstawową formą budownictwa przyszłości byłby ostrosłup, którego boki byłyby trójkątami równoramiennymi. Fuller twierdzi, że takie miasto-ostrosłup miałyby zapewnić największą stabilność, a zbudowane z bardzo lekkich materiałów byłoby całkowicie odporne na działanie burz i wicherów. Tego rodzaju piramida, w której zespoły mieszkalne, budowane serijnie umieszczono w płaszczyźnie boków ostrosłupa, miałyby zapewnić dostateczną ilość światła. Środek takiej piramidy nie byłby zamieszkały, a użytkownikami na zamieszkiwanie środków transportu, garaży, a nawet ogrodów.

Na temat urbanistyki przyszłości zamieścił ostatnio artykuł radziecki czasopismo „Diekora” w formie „iscusstwo”, publikując zdjęcia najbardziej interesujących eksperymentalnych projektów radzieckich urbanistów.

Zamieszczone zdjęcie ilustruje eksperymentalny projekt „ekonstrucji i perspektywicznej zabudowy rejonu jednego z moskiewskich placów. Autorem projektu jest K. Pezelnikow. Rejon obliczony jest na 70 do 90 tysięcy mieszkańców. Budowa trwałaby 25-35 lat. Na zdjęciu widzimy model ilustrujący zasadnicze założenia eksperymentalnego rozplanowania rejonu.

## PLYWAJĄCE MUZEUM

Jak informuje „Literaturnaja Gazieta” jeden ze statków handlowej floty radzieckiej został nazwany „Borys Lawreniew” dla uczczenia pamięci znanego radzieckiego pisarza. Na statku urządzone jest muzeum Borysa Lawreniewa. Są tu rozmaite eksponaty jak książki i przeróżne pamiątki, które przetrwała wdowa po pisarzu. W ten sposób w portach wielu krajów dokąd zawija statek, ludzie zwiedzający muzeum mogą się zapoznać z życiem i twórczością pisarza, którego nazwisko nosi statek.

## TA, KTÓRA SPIEWA POETÓW

Dwa lata temu pisaliśmy na tym miejscu o utalentowanej śpiewaczce francuskiej Béatrice Arnac, która śpiewa teksty poetyckie. Śpiewaczka wzięła następnie na tournée po Europie i Stanach Zjednoczonych. Obecnie wróciła do Paryża i występuje tu w Studio des Champs-Élysées.



Béatrice Arnac

Pierwsza część jej repertuaru zawiera pieśni francuskie od XV do XIX wieku oraz pieśni oparte na tekstach Federico Garcia Lorca. W drugiej części występu Arnac śpiewa pieśni z tekstami poetów współczesnych.

## HELMY - MASKI

Na interesujące znalezisko natknęli się bulgarscy archeolodzy przy



pracach wykopaliskowych, których obiektem jest kolosalny, wysoki na 20 metrów gro-

bowiec o nazwie „Roszawa Dragana”. W tym brązowym grobowcu znaleziono m. in. hełm-maske. Składa się on z dwóch części: przednia, będąca właściwą maską twarzową, wykonana jest z brązu, druga zaś część z żelaza. Tego rodzaju hełm-maske rozpowszechnione były w Tracji, w okresie wczesnego helenizmu. Podobne przedmioty odkrywano też w Anglii. Już niemal od stuleci trwa między uczonymi spór o to, do czego właściwie służyły te przedmioty uzbrojenia.

## MOZG ELEKTRONOWY W SŁUŻBIE SZUKI

W samym Nowym Jorku znajduje się parę milionów dzieł sztuki. Jeśli ktoś chciałby się zająć spisem, skatalogowaniem, usystematyzowaniem wszystkich opracowań o tych dziełach, to także zbiory informacji musiałby liczyć kilka miliardów tomów. Nikt nie jest w stanie wykonać takiej pracy. Może to jednak zrobić mózg elektroniczny. Jak informuje pismo „Newsweek” 15 muzeów nowojorskich i National Gallery w Waszyngtonie stworzyły projekt przystosowania mózgu elektronicznego do gromadzenia i przekazywania informacji o dziełach sztuki. I tak np. jeśli któryś z naukowców chciałby otrzymać szybko wiadomość o rzeźbie greckiej, będzie mógł po upływie zaledwie kilku sekund otrzymać wy-czerpujące wiadomości.

W ciągu pierwszego roku mózg elektroniczny, Museum Computer Network będzie gromadził informacje o twórczości Picassa i zabytkach sztuki amerykańskiej z okresu przed Kolumbem.

## DWA TOMY WSPOMNIEN O BLOKU

Jak informuje „Literaturnaja Gazieta” wydawnictwo „Chudożestwiennaja literatura” przy gotowaniu do druku zbioru pt. „A. Blok we wspomnieniach współczesnych”. Redaktorem i autorem wstępu do zbioru jest znany historyk literatury W. Orłow. W drugim jego wyrażeniu, w tym dwutomowym zbiorze znajdują się najważniejsze materiały z tych, które przekazał o Bloku jego przyjaciele i znajomi. Większość wspomnień pochodzi z rzadkich wydań z lat dwudziestych. Niektóre wspomnienia publikowane będą po raz pierwszy. Tom pierwszy zawierać będzie głównie wspomnienia A. Bielego wydane drukiem tylko raz w latach 1922-23 za granicą. W tym tomie po raz pierwszy opublikowane zostaną, niestety nie zakończone, zapiski żony poety.

Niektóre ze wspomnień w zbiorze mają niewielką objętość — jedną lub dwie strony, mówią o jakimś przypadkowym spotkaniu, krótkiej roz-



Aleksander Aleksandrowicz Blok

mowie itd., a jednak nawet i z tych kart wyłania się postać poety z niezwykłą siłą, zwłaszcza ze wspomnienia wy-

szły spod pióra takich wybitnych pisarzy, jak Anna Achmatowa, Aleksy Tołstoj czy Konstantin Pudin.

## MAX ERNST CIĄGLE TWORZY

Max Ernst, choć ma 77 lat ciągle jeszcze odznacza się niespożytą energią twórczą. Pismo „Les lettres francaises” zamieściło obszerną rozmowę ze słynnym malarzem i rzeźbiarzem z okazji wystawy jego dzieł. Jak się okazuje Max Ernst pracował ostatnio nad rzeźbami, których tworzywem są ogromne głazy. „Pierwszy raz — powiedział Ernst — pracuję nad kamieniami o

tak wielkim wymiarze”. Gdy przedstawiciel tygodnika spytał Ernsta, czy uważa się nadal za nadrealistę, artysta odpowiedział: „Nadrealizm jest określeniem tak mglistym, że mogę panu odpowiedzieć i tak i nie. Zresztą tyle razy mnie z niego (z nadrealizmu) wykluczano. Było to dość zabawne”.

Jak wiadomo, Max Ernst określany jest przez historyków sztuki, jako główny przedstawiciel surrealizmu.



Collage Maza Ernsta.

## BEZ STRACHU

BUTY

Wyszedłem na ulicę i ukłoniłem się grzecznie przed pierwszym napotkanym przechodniem: „Jestem felietonista, czy Pan Szanowny zechce mi powie dzieć o czym mam napisać felieton”. Przechodzien nie zadrwił się zupełnie, skwapliwie skinął głową i powiedział: „O butach, o oczywiście o butach” — podniósł wysoko stopę i pokazał mi głodną, otwartą paszczę jednego ze swoich butów. „Oto buty skórzane, wyscielane futrem, buty na gumie. Kupiłem je w sklepie przy ul. Piotrkowskiej za 320 złotych i tak oto wyglądają po siedemnastu dniach noszenia”. „Ależ, Kochany Panie — buty to wielki dramatyczny temat, a ja jestem skromnym felietonistą. O butach zgromadziłem wielką poezję: Kipling, Wy spiński, Witkacy, Tuwim i Lesmian — znajdzie pan u nich buty pojęte symbolicznie, metafizycznie, so-cjalnie. Proszę Pana, niech Pan się zgodzi na małą felietonik o premierze Australii, którego zjadł rekł, albo grożącej ludzkości za dziesięć miliardów lat totalnej katastrofie kosmicznej, albo o tym jak podświadome poczucie zagrożenia wojną atomową likwiduje w psychice współczesnego człowieka elementy mentalności mieszczańskiej — to są kwestie dla małych felietonów, a nie wielki temat butów!” Był nieubłagany. „O tych wszystkich luzackich sprawach napisze Pan kiedy indziej, a teraz proszę wykopać felietonik o butach i to szybko. Jeżeli Pan nie chce słuchać, to nie trzeba było pytać. Marsz do domu i pisz o butach!” Pobiegłem, bo groźnie krzychał, tupiąc o śnieżoną nogę i klapiąc paszczą otwartego buta. Siedząc przy stole i przykrawając i wyklepując nie zdarnie felieton myślałem ze wzruszeniem o wielkich szwach naszej historii — przesładowało mnie wielkie widmo Kilińskiego. Ze łzami wspominałem starożytnego szewca — filozofa sceptyka, który kaszkał imat się kopyta „Człowiek” mówił: „Jest jak but, starzeje się i idzie na śmieć” i szewca alkoholika, któremu oddałem buty do naprawy, miały być gotowe za 3 dni — przychodziłem do niego przez pół roku — wiedziałem, że buty dawno zgubił, fałszywo mówił mi, jednak jego monolog: „Buty” mówił „Panu chodzi tylko o buty, chce Pan laty na swoich butach, a nie widzi Pan przed sobą bliźniego człowieka, który tonie, który ginie w Pana oczach. Nie wyciąga Pan ręki aby mnie wyciągnąć z otchłani — Pan mówi o niegdznych, doeznych butach, kiedy ja otwieram przed Panem duszę — jest Pan złym człowiekiem, jednym z tych, których „Pan skreśli z księgi żywota”. I patrzył na mnie, przyszłego potępienia z listością. Rozpogodził się, gdy zaprosiłem go na wodę, zdjął fartuszek i uczesał włosy. „Jestem niedzielnikiem”, krzychał pijąc ze mną, „Pan sędzi, że zgubiłem tylko Pana buty, ja zgubiłem duszę i Pan sędzi że też zgubi — niech Pan niczego nie pragnie odzyskać — rozumie Pan? Zwalacza niczego, co nie-że Pan ująć w rękę”. „I włożył na nogi” dodałem w myśl. Ten szewc nie był zrodzony z niewiasty — stworzył go Dostojewski i nakazał żyć między nami. Pamiętam jego pierwszą dumną odpowiedź: „Nie ma” mówił prostując się bardzo i patrząc na mnie pogardliwie. Wtedy nie tłumaczył — zaleciał do „bogactw duchem”, „niepokornych” i dlatego ginał. Otoż. Wy Wszyscy, którym rozlatują się po kilkunastu dniach wycięła ne futrem buty kupione w sklepach przy ul. Piotrkowskiej za 320 złotych. Długo myślałem o produkcji takich butów! Wam się marzyło sennie filisterne ciepło w nogach na widok białego futerka — oż producentem wyznaczyli Wam większe miary — dali Wam cierpienie — cierpienie, które dźwignie Was kaszkałych i zakatarzonych, swa uszlachetniającą mocą w sferę spokoju i doskonałości, gdzie nie ma miejsca na małgusze pragnienia. Kończę już, bo spieszę na Piotrkowską, wskazano mi protekcyjnie adres sklepu, w którym zakupione buty rozlatują się już, gdy minie trzykroć po trzy dni, czy aby jestem ich godzien?

BERNARD SZTAJNBERG

## JÓZEF ŚMIAŁOWSKI

### Zyciorys administracji fabrycznej

Biografie bohaterów narodowych, zasłużonych działaczy go spodarczych czy naukowców są pozycjami bibliograficznymi spotykany mi dość często, co jest wynikiem sympatii do tego rodzaju literatury zarówno ze strony czytelnika jak i pisarza. Biografie zakładów przemysłowych nisywane są już znacznie rzadziej, a do niemiernie rzadkich należą próby by syntetycznych biografii, mo-faktiej właśnie próby jest książka Ireneusza Ichnatowicza (\*). Autor podjął temat trudny i nad wyraz niewdzięczny. Temat nie nadający się do fabularnego ujęcia, nie pozwalający na rezygnację z suchego, urzędowego i powściągliwego nudy nowego prawniczko-buchalteryjnego języka. Praca Ichnatowicza nie jest przeznaczona dla szerokiego kręgu czytelników.

gu łódzkiego oraz niektórych akt administracji państwowej odtworzyć syntetyczny obraz rozwoju form kancelarii przemysłowej i kształtowania się jej organizacji wewnętrznej na przestrzeni od czasów sprzed powstania listopadowego aż do drugiej połowy XIX wieku. W swoich badaniach autor nie ogranicza się tylko do zarejestrowania zmian zachodzących w strukturze kancelarii, ale równocześnie uzasadnia źródła tych modernizacji pokazując czynniki kształtujące je. Raz było to wynikiem postępu technicznego i osiągnięć na polu organizacji pracy (przy czym motyw ten, jak pisze autor, występował najrzadziej) kiedy indziej wynikiem nacisku aparatu administracji państwowej, domagającej się realizacji określonych zaleceń i dostarczania niezbędnych dla państwa informacji, np. dla ustalenia wymiaru podatku. Najczęściej jednak było to wynikiem rozwoju przedsiębiorstwa i wchodzenia przez nie nowe stosunki handlowe. Kredy-

towne i własnościowe (powstawanie spółek).

Historycy w zasadzie wykorzystują akta fabryczne jedynie jako źródło archiwalne. Dla Ichnatowicza stanowią one same w sobie przedmiot badań pozwalający na obserwację kancelarii jako czynnika produkcyjnego. Ten punkt wyjścia pozwala autorowi na stwierdzenie, że powstanie i istnienie kancelarii fabrycznej było przez fabrykantów uznawane za potrzebne tylko o tyle, o ile pozwalało to na zwiększenie lub zabezpieczenie zysku przedsiębiorstwa. Kancelaria przemysłowa pojawia się więc w tym momencie, gdy chłonność pamięci fabrykanta nie pozwalała na rejestrowanie wszystkich operacji i gdy niektóre z nich lub nawet wszystkie trzeba było utrzymywać w formie bardziej lub mniej systematycznych zapisów. Również rozwijające się stosunki kredytowe, handlowe a także interwencja państwa w niektóre stosunki produkcyjne i społeczne wymagały dokumentacji pisanej. Za czynniki determinujące kierunki rozwoju kancelarii przemysłowej uważa Ichnatowicz kon-takty rynkowe danej przedsiębiorstwa i jego struktura ekonomiczna a nie stan techniczny. Dlatego też stopień organizacji kancelarii w różnym przedsiębiorstwach nie był identyczny ani nawet podobny, tak samo jak i różne były okresy ich powstawania. Źródłem tych różnic był niemal za-

pełny brak przepisów prawnych zobowiązujących fabrykantów do prowadzenia kancelarii przedsiębiorstwa.

Brak przepisów określających jednolitą formę kancelarii fabrycznej i jednolite zasady jej funkcjonowania powodował, że charakter poszczególnych kancelarii kształtował sam przedsiębiorca, a jeszcze częściej zatrudniani przez niego personel administracyjny. Ponieważ z reguły byli oni pochodzenia obcego (Niemcy, Francuzi, czasem Anglicy i Rosjanie) tworzyli oni kancelarie w oparciu o wzory i doświadczenia wynie-sione ze swoich krajów ojczy-stych, tym bardziej że w Królestwie Polskim brakowało własnych rodzimych doświadczeń w tym zakresie. Językiem akt w stosunkach handlowych i technicznych był więc głównie niemiecki, czasem francuski i angielski, a w stosunkach z administracją rosyjski i niemiecki.

Łamy niniejsze nie są miejscem dla podjęcia szerszej dyskusji polemicznej z autorem co do niektórych jego stwierdzeń. Na tym miejscu wypada tylko podnieść stawiany przez niego historykowi zarzut o podawaniu w wątpliwość autentyczności archiwaliów fabrycznych (s. 190). Wypadki takie zdarzały się na ogół rzadko i mieszczą się w ogólnie znanej krytycznej postawie historyka w stosunku do źródła. Generalne zastrzeżenia historyków do-

tyczą nie autentyczności źródeł, lecz wiarygodności zawartych w nich informacji, o czym zresztą autor sam pisze na stronach następnych. Wiarygodność informacji dotyczących różnego rodzaju transakcji — zawartych w autentycznych dokumentach — niejednokrotnie w przeszłości dochodził przed historykami prokuratorzy — i to skutecznie. Ostrożność historyków jest więc w tym wypadku jak najbardziej uzasadniona.

Praca Ichnatowicza jest monografią naukową. W tej sytuacji nie satysfakcjonuje recenzenta sposób prezentowania przez autora literatury i bazy archiwalnej niejednokrotnie odbiegający od typowych zasad edytorskich. Niekonsekwentne i niezgodne z przyjętymi w archiwistyce i historii zasadami podawanie odsyłaczy do akt notarialnych, bez podania zespołów — z podaniem jedynie ich nazwy i miejsca przechowywania i to w różnych wersjach, budzi u czytelnika uzasadnioną obawę, że z materiałów tych autor nie korzystał bezpośrednio, jak to podaje, lecz za pośrednictwem publikacji, z niewiadomych powodów nie ujawniając tego przed czytelnikiem.

\* Ireneusz Ichnatowicz, Historia kancelarii przemysłowej w okręgu łódzkim, Warszawa 1967, s. 172.



# Rewelacje kaprala Wiedwalda

W końcu stycznia ubiegłego roku, w londyńskim „Sunday Times”, ukazała się relacja b. kaprala SS Erika Karla Wiedwalda na temat losów Martina Bormanna i innych nazistowskich zbrodniarzy wojennych. Spisał ją korespondent „Sunday Times” dla Europy Środkowej — Antony Terry.

Zdarza się po raz pierwszy, że spośród wszystkich publikowanych dotychczas informacji na ten temat — jak podkreśla to „Sunday Times” — relacja Wiedwalda ma akcenty autentyczności. Odnajdujemy w tym miejscu, iż podczas wojny i tuż po jej zakończeniu, Antony Terry prowadził, z ramienia brytyjskiego min. wojny, przesłuchania zarówno niemieckich jeńców wojennych, jak i nazistowskich zbrodniarzy wojennych.

— \* —

Już od dwudziestu z górą lat świat poszukuje Martina Bormanna, szefa nazistowskiej partii i najbardziej zaufanego człowieka Hitlera. I oto Niemiec, Erik Karl Wiedwald, który ostatnie dni wojny przeżywał w Berlinie jako kapral b. formacji SS, wyraża dziś chęć wyznania publicznie całej prawdy o Bormannie i również — za jednym niejakim zamachem — udzielenia informacji o innych trzech poszukiwanych nazistowskich zbrodniarzach wojennych.

Nasuwa się pytanie: czy Wiedwald mówi prawdę? Zastanawiamy się. Motywy, które nasuwałyby podejrzenia co do intencji Wiedwalda dały się łatwo wyeliminować: Wiedwald nie zażądał pieniędzy. Również nie zależy mu na rozgłosie, bowiem oświadczył, iż jest mu całkiem obojętne, czy jego nazwisko będzie, czy też nie będzie wymienione.

Mogłoby tu chodzić o agenta Niemieckiej Republiki Federalnej, która w ten sposób próbowałaby zmusić Brazylię do wydania Bormanna. Ale nie, gdyż forma w jakiej Wiedwald przedstawił mi swoje wspomnienia, przeczy takiej hipotezie. A może Wiedwald pracuje dla Bormanna, któremu zależy na tym, żeby przekonać świat, że dziś jest już tylko starym, nieszkodliwym człowiekiem? Ale przecież byłoby to grą równie niebezpieczną, co i bezsensowną. Ostatnia hipoteza: Wiedwald mówi prawdę, mając ku temu ważne powody. Ma 41 lat, jest

dotknięty rakiem krtań. Pragnie otworzyć w Bonn mały sklepik z wyrobami tytoniowymi i liczy w tym na pomoc Bormanna. Ale i to odpada.

Wiele faktów z relacji Wiedwalda skrupulatnie skontrlowano. Niestety, nie wszystkie, ponieważ obfituje ona w mnóstwo takich szczegółów, których dziś zweryfikować nie sposób. Więc pewnie wątpliwości pozostały. Niemniej jest to relacja najbardziej szczegółowa, najbardziej ścisła i najbardziej wyczerpująco sprawdzona ze wszystkich, jakie kiedykolwiek usłyszano na temat Bormanna od czasu zakończenia wojny.

— \* —

Martin Bormann żyje i przebywa na południu Brazylii, tuż przy granicy Paragwaju. Mieszka w posiadłości zwanej „Osada Waldner 555”, która leży dokładnie milę na zachód od rzeki Parana i 15 mil na północ od granicy Paragwaju. Osadę zamieszkuje Niemcy i Ukraińcy. Oni to tworzą straż przyboczną Bormanna, świetnie uzbrojona w każdej chwili gotowa do walki w obronie swego szefa. Według oceny Wiedwalda, osada tworzy kompleks budynków usytuowanych w ogromnym prostokącie.

Jeden bok tego prostokąta biegnie wzdłuż brzegu rzeki na przestrzeni 40 mil, zaś drugie boki sięgają dziesiątek mil, giną w głąb lasu. Od wschodu strzegą osady burzliwe wody Parany, której szerokość, w tym rejonie przekracza 10 mil. Od południa, dżungla i sawanny Parany są tak niebezpieczne, że przybycie ich jest praktycznie niemożliwe, ponadto trudno postawić tam stopę, nie alarmując miejscowych Indian, spośród których większość figuruje na listach płacy Bormanna.

Drogi prowadzące z zachodu, więc jedna z Asuncion w Paragwaju i druga z Bella Vista w Brazylii, biegną wzdłuż granicy brazylijskiej i są kontrolowane przez bardzo ponure patrole wojskowe,

które, notabene Bormann siono onlaca. Co więcej drogi te przebiegają przez rejonny gęsto usiane wielkimi majątkami ziemskimi, których właściciele — koloniści niemieccy — są wrogo usposobieni do obcych. W pasie między drogą Bella Vista a granicą, znajduje się kilka osad, zamieszkałych przez zarządzących nacjonalistów niemieckich.

Pozostaje ostatnia ewentualność dotarcia do osady „Waldner 555” — przełknięcie Parana od strony morza. Zamiar z górą skazany na niepowodzenie: po pierwsze — pod prąd, po drugie — moc zdradliwych mielizn, po trzecie — prawie wszyscy piloty na Paranie są Niemcami...

Wiedwald wiele razy podkreślał, iż podane szczegóły topograficzne pochodzą sprzed dziesięciu lat. Wszak osadę „Waldner” opuścił on w roku 1958. Z Bormannem widział się ostatnio w Montevideo w marcu 1965 roku. A z zastępcą Bormanna — Schwentem — spotkał się w lecie ubiegłego roku.

Bormann nie jest człowiekiem, który by zmieniał miejsce zamieszkania bez poważnych powodów. Gw w końcu 1957 roku Wiedwald zetknął się z Bormannem, mieszkał on wówczas w samym sercu argentyńskiej Szwajcarii, w rancho nad brzegiem jeziora, 60 mil na południe od San Carlos, niemal w Andach. Był to rejon bardzo uczęszczany przez turystów, wszelako Bormann nie chciał „zmieniać powietrza” przed upadkiem Perona.

Według Wiedwalda, Bormann, po opuszczeniu Andów udał się do Chile, a jego przyjaciele puścili dwie bazyliki o jego rzekomej śmierci. Na wypadek, gdyby jedna nie wystarczyła.

Bormann zetknął się tam ze swym starym kumratem, generałem Richardem Glueckiem, który w „czasach chwały opiekował się” obozami koncentracyjnymi.

Glueck mieszkał więc i — wedle Wiedwalda — mieszka sobie nadal zupełnie spokojnie w chilijskim rancho nad jeziorem Ranco, niedaleko miasta o tej samej nazwie. Tam właśnie, Bormann i ludzie z jego najbliższego otoczenia, spędzili prawie dwa lata.

„Osada Waldner 555” jest oczywiście miejscem bardziej pewnym, niż gniazdko nad jeziorem Ranco. Ścisły, centralny kompleks osady składa się z 8 budowli, które tworzą dziedziniec w kształcie czworoboku o szerokości około 50 metrów. Od osady do przystanku wyładunkowej nad rzeką prowadzi droga długości jednej mil. Dom, w którym mieszka Bormann stoi osobno, tuż przy almurowym wyjściu z dziedzińca, które prowadzi na niewielkie pole lotnisko.

Stoją na nim zawsze w pełnej gotowości do lotu, dwa lekkie samoloty typu Piper Cub.

Wiedwald twierdzi, iż od czasów wojny Bormann był w Europie tylko jeden raz i że zmusiły go do tego ważne okoliczności.

Jeżeli w czerwcu 1958 roku Bormann podjął ryzyko podróży do Santander, to tylko dlatego, żeby doręczyć do rąk własnych adresata pewien pakiet z bardzo ważnymi dokumentami. Wiedwald, który odbył tę podróż wraz z Bormannem, twierdzi, iż widział na własne oczy zawartość pakietu. Miały to być rachunki, pochodzące z trzech banków z Zachodniej Europy. Doskonale przypomina sobie nazwy i adresy tych banków. Któregoś dnia Schwent powiedział Wiedwaldowi, iż według jego oceny, miesięczne dochody Bormanna sięgają prawie 200 tysięcy nowych franków. Według pogłosek obiegających osadę „Waldner”, kapitały Bormanna pochodzą z dwóch źródeł: ze skarbu partii nazistowskiej i osobistej fortuny Hitlera, która Bormann sobie przywłaszczył, łącznie 450 milionów nowych franków, oraz 180 milionów franków, pochodzących ze skarbu SS.

Wiedwald powiedział, że wie, iż zbrodniarz wojenny Glueck przebywa w Chile, utrzymuje również, że Mengele jest lekarzem wojskowym, w randze majora i mieszka w garnizonie w Antonio Lopez, w północno-wschodnim rejonie Paragwaju. Były szef gestapo, Heinrich Mueller, mieszka w Natalu, w północno-wschodniej Brazylii, wraz z żoną Włoszką, gdzie ma sklep kolonialny.

Dalej, opowiada Wiedwald o ucieczce z obłożonego Berlina i spotkaniu z Bormannem. 2 maja 1945 roku, podczas walk w centrum Berlina, Wiedwald został ranny, dostał się do niewoli radzieckiej i następnie znalazł się w radzieckim szpitalu położym w Königs-wusterhausen. Wiedwald miał podwójne szczęście: uszedł z życiem z pola walki, a po wtóre miał szansę na przedostanie się do swego wujka zamieszkałego w Dahlem, na zachód od Berlina. Gdy na podjeździe szpitala omawiał szczegóły ucieczki z innym rannym mogącym chodzić, do rozmowy włączyła się grupa pięciu jeńców. Jeden z nich był przebrany w mundur z jednostki DCA z Berlina — to był Martin Bormann. Drugim był Rolf Schwent, który później, już w Ameryce Południowej, stał się pierwszym zastępcą Bormanna. Wiedwald mówi, że nie rozpoznał Bormanna. Miał przed sobą małego grubasa z obandażowaną nogą. Natomiast Schwent był bardzo duży, bardzo blond i bardzo aryjski. To właśnie on zainicjował naradę. Przekonał Wiedwald, że cała grupa ma

więcej szans na przedostanie się do Dahlem. Ze szóstą wymknęli się razem. W dwa dni później, 4 maja, przybyli do Dahlem i ukryli się w willi wuja Wiedwalda. Przebywali tam pięć dni, 10 maja wyruszyli w dalszą drogę.

• \* •

Jeżeli wierzyć Wiedwaldowi, Bormann jest nie do rozpoznania z racji oplakanych skutków operacji plastycznej, której się poddał zaraz po przybyciu do Buenos Aires, w roku 1947. Twarz ma obrzękniętą, zdeformowaną i ukryta bliznami. Pragnąc ukryć skutki tego niefortunnego zabiegu chirurgicznego, Bormann zawsze nosił kapelusze o szerokim rondzie i ciemne okulary. Niepokalanie biała koszula, spodnie do konnej jazdy i buty z cholewami nadają mu wygląd typowego ranchera.

• \* •

Wiedwald podkreśla jednak osobliwy szczegół tego ubioru: jasne buty. Wszak SS-owcy wydali wyrok na jasne buty, jako „symbol dekadentkiej arystokracji”. Ta pozorna ekscentryczność Bormanna uchyla mały rąbek tajemnicy jego nietykalskości: oto prezydent Paragwaju, generał Stroessner, ma wielką skłonność do długich butów z jasnej skóry. Bormann w ogóle bardzo admiruje Stroessnera i nie bez wzajemności. Jeśli wierzyć Wiedwaldowi, oprawiona fotografia Stroessnera z jego odrębną dedykacją: „Mojemu przyjacielowi”, zajmuje w pokoju Bormanna honorowe miejsce, między podobiznami Hitlera i Goeringa.

Bormann cierpi na raka żóładka. Wydaje się, iż pogodził się z myślą o rychłej śmierci. Pali dużo, pije dużo szczególnie whisky „Vat 69”. Jest to również ulubiony trunk Stroessnera.

Bormann może być zupełnie spokojny o swoje bezpieczeństwo w osadzie „Waldner 555”. Jednakże marzy czasem o „dniu pojednania”. W rozmowach z osadnikami, które żywo przypominają wojownicze mowy Hitlera, i które, jak utrzymuje Wiedwald, „są straszliwie nudne”, Bormann porusza możliwość negocjacji „opartej na ego-dziwnym kompromisie”, ze Stanami Zjednoczonymi, czy też udanie się pod opiekę Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie.

Lista dni wolnych od pracy w „osadzie Waldner” jest długa i groteskowa. Więc obchodzi się dzień urodzin Hitlera, dzień, w którym objął władzę, rocznicę nieudanego zamachu stanu, rocznicę urodzin Bormanna. W dni świąteczne śpiewa się „Horst Wessel Lied” i inne piosenki z tego repertuaru.

Jedyną rozrywką mieszkańców osady są wspomnienia o starych, dobrych czasach.

Bormann nie godził się na wprowadzenie kobiet do osady, motywując to względami bezpieczeństwa i wszelkie szczegóły na ten temat z furją odrzucał. Mówił, że to „obraza pamięci Führera” oraz ideał stajni norydyckiej. Wydaje się jednak, że kobiety zdobyły sobie już prawo obywatelstwa w osadzie i mieszkają tam ponad od dwóch lat.

Jest pewne, że ten blokhaus, zagubiony nad brzegami rzeki Parany, nie przeżyje śmierci swego fundatora...

## KSIĄŻKI NADEŚLANE

Henry Bars — „Siódma zastopna literatury”, PAN, cena zł 35.—

Zdzisław Umfiński — „Pułapka”, PAX, cena zł 15.—

Curtis C. Davis — „Szambelan Jego Królewskiej Mości”, PAX, cena zł 40.—

Artur Sandauer — „Śmierć Iherała”, W. Lit., cena zł 10.—

„Legends i opowiesci o Krakowie”, W. Lit., cena zł 45.—

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska — „Wybór wierszy”, Ossolineum, cena zł 26.—

Mykola Bażan — „Rozmowa z Bogiem”, PIW, cena zł 10.—

Almanach fotografii polskiej, WAIF, cena zł 60.—

Francis Clifford — „Rozkaz zatrzymać”, PAX, cena zł 15.—

Tadeusz Lehr-Splawinski — „Konstantyn i metody”, PAX, cena zł 50.—

Antoine de Saint-Exupery — „Maly Ksiądz”, PAX, cena zł 40.—



## Lewym okiem

### MORBUS TELEPHONICUS

W żadnym mieście Niemieckiej Republiki Demokratycznej nie znajdziemy telefonicznego automatu, który by nie działał. W Bukareszcie automaty wiszą po prostu w podcieniach domów, bez żadnych budek, komórek i zamków, i działają jak należy. Na naszych ulicach możecie schodzić nogi po szyję, a czynnego aparatu nie będzie.

W budkach wiszą skrzynki z urwanymi sznurkami, albo nie wiszą oprócz okładki książki telefonicznej, albo wszystko wiszą, ale nie działają. Czasem się zdarzy, że posłyszysz głos zdanego rozmówcy. Cóż z tego, skoro rozmówca nie słyszy twojego głosu i po kilkakrotnym „halo” odkłada słuchawkę.

Czytałem kiedyś zawily psychologiczny wywód o nienawisici do maszyn i aparatów, żywionej rzekomo przez szerokie rzesze, wyszłe niedawno ze stanu bukolicznej prostoty i prymitywu. Zniszczyć wszystko, czego nie rozumiem, co narzuca mi jedyny możliwy sposób działania, jedyny możliwy gest. Zniszczyć tym bardziej, że to tak łatwo, że nikt nie widzi, że sam przedmiot nie broni się

przed moją samowolą, a ślady zniszczenia, wykładniki mojej wolnej woli, są natychmiast widoczne. Coś w tym wywodzie na pewno jest, bo automaty telefoniczne nieczęsto niszczone są z chęci zysku, czyli bez żadnej tam psychologii.

No dobrze, to o automatach. Ale mamy jeszcze telefony w biurach i w domu. I chyba trzeba by odurczyć całe rozumowanie: tu już nie nasza psychologia i jej podświadome pokłady działają na sposób postępowania z martwym aparatem, lecz przeciwnie — ten pozornie martwy aparat wywiera ogromny wpływ na nasze życie wewnętrzne, paczy psychikę, zabagnia podświadomość.

Kiedy w momencie wielkiego nawalu pracy kręci się tarcza aparatu, a on odpowiada beztroško wciąż tym samym sygnałem, albo zapada nagle w straszliwe milczenie — budzą się głęboko na dnie jaśni instynkty mordercze, serce podskakuje do gardła i papieros wypada z rąk wprost na tajne akta.

Kiedy po czterdziestokrotnych próbach zakończonych sygnałem „zajęte” odezwi się nagle sygnał „wolne”, a przez kwadrans nikt nie podnosi z tamtej strony słuchawki, chociaż to jest numer instytucji, gdzie nie może nikogo nie być — jedynym winnym, znajdującym się pod ręką, jest czarne pudelko z tarczą. Jeśli nie rzucamy nim o ścianę, to tylko dlatego, że sekretarka patrzy i może sobie pomyśleć.

Kiedy zamiast głosu, którego oczekiwaliśmy, usłyszymy w słuchawce dyskusję dwóch podnieconych panów o kieckach i o chorych dzieciach, o Kaziu chi chi chi i o tym wysokim, wiesz, co przyszedł później — przestajemy wierzyć w dobre intencje Grahama Bella, wynalazcy telefonu.

A jeszcze mamy pomyłki. Wcale nie nasze. To on się, psiakrewo, myli: aparat. Kręcimy coraz

ważniej wciąż ten sam numer centrali jajczarsko-papierniczej, a odzywa się najpierw małutka Malgosia, potem kasa cyrku numer trzy, potem mieszkanie Sztrabancji, zespół adwokacki, punkt jakichś tam usług dla ludności i przeciętne, bardzo zachęcające, damskie, rozspane hallouuu? Za każdym razem kończy się sakramentalnym „pomyłka” i „przepraszam”, dopóki nie odłożymy słuchawki rezygnując z dobrodziejstwa szybkich środków łączności.

W skali prywatnych, indywidualnych posiadaczy telefonów sprawa jest i bardzo mała, i całkiem duża. Mała, bo prywatni posiadacze to za ledwie jeden procent sieci telefonicznej co do ilości numerów, a żaden procent co do wysokości opłat. Duża — bo o ilez trudniej prywatnemu posiadaczowi doprosić się specjalisty w razie uszkodzenia!

Uszkodzenia są wciąż, coraz to inne. Melduje się w biurze napraw. Czeka się. Placi się, chociaż nie korzysta. Jak kopia ulicę i przetrną kabel na całej tygodnie — też się płaci, chociaż biuro napraw doskonale zna przyczynę i uspokaja, że to długo nie potrwa. Jak już wezwany specjalista przyjdzie — to na pewno nie wtedy, kiedy się zapowiadał. Dmuchać, przykręcić, zapłata, czy musi być rachunek — ale po co ma być, skoro bez rachunku taniej? A po tygodniu znów warczenie zamiast sygnału albo same pomyłki.

Oczywiście, bez telefonu życie jest ciężkie, smutne i w niektórych zawodach prawie że niemożliwe. A z byle jakim telefonem ciężkie, nerwowe i prawie niemożliwe. Najlepiej byłoby z telefonem co krok dostępnym, uszużnym, sprawnym i zawsze gotowym. Ba, co tam marzyć! —

CWIEK